ROK X. MAJ 1934. Nr. 5.

WIARĄ I CZYNEM!

PRO CHRISTO!

MIESIĘCZNIK MŁODYCH KATOLIKÓW.

REDAKTOR I WYDAWCA: KS. MARJAN WIŚNIEWSKI M.I.C.

Redakcja: Warszawa, Marymont, ul. Gdańska № 8.

P. K. O. 10.115 Telefon 11.32.53

Biuro i telefon redakcji czynne w dni powszednie od g. 10 do 12.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Administracja: Warszawa, ul. Podwale № 4.

Telefon 615-95.

Administracja czynna od g. 9 rano do 7 wieczór.

W sprawach prenumeraty prosimy zgłaszać się do Administracji.

TREŚĆ.

PRO CHRISTO!

Ku rozważeniu i wykonaniu — na maj.

Mam przed sobą t. zw. „cudowny medalik" Niepokalanej Dziewicy, otrzymany przed ośmiu laty od O. Maksymiljana Kolbe, twórcy *„Rycerza"* i *„Milicji Niepokalanej"*.
Któż go dziś nie zna w Polsce? Ma on za sobą przeszło stuletnią tradycję, rozpowszechnioną w całym świecie katolickim, i niezliczone łaski Marji, szczególnie głośne nawrócenia, o których tak wymownie pisze co miesiąc nasz kochany *„Rycerz Niepokalanej"*.

Na jednej stronie medalika znajduje się postać Niepokalanej, stojącej na kuli ziemskiej i depcącej węża piekielnego. Długa tunika wstęgą przepasana spływa poważnie aż do ziemi, na nią narzucony krótszy płaszcz osłania ramiona, a z pod płaszcza wyciągnięte ręce z otwartemi dłońmi zlewają promienie łask na biedne dzieci Ewy. Dokoła postaci Niepokalanej widnieje napis: *„O Marjo bez zmazy poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy!"*

Na drugiej stronie medalika widzimy emblemat Marji — literę *M*, powyżej — *Krzyż*, poniżej — *dwa Serca*: Jezusowe — cierniem okolone i Marji — mieczem przebite. W otoku jaśnieje *korona z gwiazd dwunastu*.

Jest to autentyczny *„cudowny medalik"*, objawiony przez samą Niepokalaną, jako dowód Jej macierzyńskiej nad nami opieki, a zarazem pobudka do mężnej walki z niewiarą i niemoralnością naszych czasów.

Przed kilku miesiącami pewien młody katolik przyniósł mi drugi medalik, na pierwszy rzut oka bardzo podobny do pierwszego.

— *„Niech ksiądz popatrzy, co za bluźnierstwo i świętokradztwo!* — mówi z oburzeniem — *te łotry niczego nie uszanują!"*

Przyglądam się uważniej. Rzeczywiście, zamiast Niepokalanej — jakaś niby Venus medycejska ukrywa wstydliwie w muślinach swoje zbyt wyraziste kształty i ogląda się trwożliwie, czy jej kto nie widzi. Oczywiste bluźnierstwo. Djabeł—„małpa Pana Boga", jak trafnie nazwał go stary Tertuljan, przedrzeźnia, jak może, dzieła Stwórcy, a na pomocnikach nigdy mu nie zbywa. Znalazł ich i tym razem. Zamiar i cel widoczny: zohydzić podstępnie i niepostrzeżenie szerzący się w Polsce kult Niepokalanej, jak „mankietnicy" pod osłoną możnych „protektorów" zohydzali i jeszcze zohydzają kult Eucharystji, kult Najświętszej Dziewicy, życie zakonne, ideę dziewictwa, godność kapłaństwa, świętość małżeństwa.

Kto baczniej obserwuje nasze życie religijne, ten z łatwością dostrzega, że przeciwko wszystkim zdrowym odruchom Narodu djabeł i jego niewolnicy natychmiast wysuwają rozmaite „contrfaçons" celem rozbicia zbożnych wysiłków. Stara i dobrze znana taktyka.

Medalik—rzecz drobna, powiecie, nie warto dłużej nad nią się rozwodzić.

Wybaczcie, najmilsi, to nie jest rzecz drobna, to *bluźnierstwo przeciw Matce Boga*, a więc już nie tylko k r z y w d a n a s z a, ale k r z y w d a B o ż a, a tej cierpieć nam nie wolno.

Nie pójdziemy jednak do sądu, bo zresztą podobnych „szczegółów i drobiazgów" tyle się już nagromadziło, że urosła cała góra, z którą nie tylko polskie sądy, ale żadne inne rady sobie nie dadzą. Tu potrzeba społecznej samoobrony. Pomóż sobie Narodzie, a i rząd ci pomoże.

Więc zabierzmy się do obrachunku i do wypłaty — majowej. Musimy być praktyczni.

1. Pobożność chrześcijańska.

Zaczniemy od dusz pobożnych, bo to najlepszy materjał na świętych, tylko, niestety, często zmarnowany. Świat wyśmiewa fałszywą „dewocję" i słusznie, bo naprawdę śmieszna.

Ale temu nie winna Ewangielja. W Jezusie i w Marji niema nic śmiesznego. Niema też nic bardziej pociągającego, jak prawdziwa chrześcijańska pobożność, której duszą jest miłość ofiarna, *„devotio"*, poświęcenie. Jeżeli czasem paczy się i wykrzywia, niby dziecko cierpiące na angielską chorobę, to wina nieumiejętnego kierownictwa i nieodpowiedniego odżywiania duchowego.

Nie o jeden medalik tu chodzi. Czemże bowiem karmią się t. zw. „dewotki"? Drobnemi praktykami własnego pomysłu, sztucznemi sosikami niezdrowego sentymentalizmu, a najmniej „chlebem mocnych"—dogmatem, liturgją i czynem apostolskim.

Kto winien? My, ojcowie duchowni, karmiciele dusz, że nie czuwamy dostatecznie nad racjonalnym doborem pokarmu.

W poczuciu wielkiej odpowiedzialności za dusze, które z całą usilnością garną się do Boga i pobożności, musimy ująć mocno w ręce i samą *„dewocję"* i wszystkie *„dewocjonalja"*, któremi ona się karmi: pisma i książki religijne, modlitewniki, obrazki, figurki, medaliki, skaplerze, różańce i tym podobne przedmioty kultu religijnego.

Kler polski w Ameryce wszedł już na tę drogę. Bez wiedzy i zgody proboszcza nic się w parafji nie dzieje, nic się między ludźmi nie rozchodzi, nawet odpustowe dewocjonalja. Parafjanie uważają to za rzecz najsłuszniejszą, gdyż rozumieją, że jeśli oko pasterza sprawy nie dopatrzy, to zaraz między owce wcisną się i świnie.

Nie do pomyślenia jest w polskich parafjach amerykańskich, aby na odpusty, misje i inne nabożeństwa parafjalne zlatywali się handlarze dewocjonalij i wtykali w ręce ludu „towar" nabyty częstokroć w hurtowniach żydowskich, a obliczony chyba tylko na spaczenie pobożności chrześcijańskiej.

Musimy więc naśladować praktyczniejszych pod tym względem i ruchliwszych braci amerykańskich.

Ale tu właśnie zjawia się konieczność stworzenia centrali

„Wyrobu i rozpowszechniania dewocjonalij", w której mogliby się zaopatrywać wszyscy duszpasterze na okolicznościowe uroczystości kościelne. Wyniknęłaby z tego korzyść podwójna: katolicy otrzymaliby rzeczy prawdziwie wartościowe i po niższej cenie, a parafja miałaby ze sprzedaży pewien sprawiedliwy dochód na swoje potrzeby.

Znamy próby mniej lub więcej udatne w kierunku „uchrześcijanienia" dewocjonalij, dopóki jednak nie stworzymy centrali, któraby regulowała i kontrolowała produkcję dewocjonalij, dopóty zawsze będziemy narażeni na przykre niespodzianki w rodzaju sfałszowanego świętokradzko „cudownego medalika".

Śmiem powiedzieć, że mamy już w Polsce podstawę do akcji w tym kierunku, mianowicie: Częstochowę, Księgarnię św. Wojciecha w Poznaniu i Niepokalanów. Potrzeba tylko, aby się te centra i możliwie jeszcze inne wybitniejsze zjednoczyły i utworzyły Sekcję przy *„Naczelnym Instytucie Akcji Katolickiej"* w Poznaniu.

Rzeczy te wiążą się ściśle ze sobą, boć jeśli *„Akcja Katolicka"* ma odrodzić całe życie społeczeństwa, to powinna w pierwszym rzędzie odrodzić pobożność, która jest koroną życia chrześcijańskiego, a zarazem jego kołem rozpędowem. Wartoby sobie przypomnieć, co o tem mówi Tissot w swojej *„La vie interieure simplifiée et ramenée a son fondement"*.

Hańba, do czegośmy dopuścili przez nasze niedbalstwo i brak organizacji. Wszak doszło do tego, że ręce żydowskie sprzedawały nasze świętości u stóp samej Jasnej Góry!

Dzięki Bogu, że znalazły się inne ręce energiczne, które wyrwały z żydowskich to, co się w nich nigdy znaleźć nie powinno. Trzeba tego dokonać w całej Polsce.

Władze duchowne nie powinny się krępować zarzutami, że chodzi im o zyski. Korzyści będą ogromne, bezwątpienia, nietylko moralne lecz i materjalne, ale czyste i sprawiedliwe. Czysty dochód może iść na cele religijno-narodowe.

Czy rzecz nie warta zachodu?

Sami zająć się tem nie możemy, ale prosimy wszystkich, co się na nasze wywody zgadzają, aby zechcieli zwrócić się ze swemi projektami i pomocą w trzy wskazane wyżej miejsca: do OO. Paulinów na Jasnej Górze, do OO. Franciszkanów w Niepokalanowie i do Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu. Upoważniają mnie do tej propozycji usiłowania uregulowania sprawy dewocjonalij z ich strony przedsiębrane.

2. Czytelnictwo katolickie.

Samym miodem człowiek nie wyżyje, potrzeba mu i chleba. Obok rzeczy ściśle religijnych niezbędne są i świeckie, służące do nauki lub rozrywki.

Cóż dotąd mamy? Wiele rzeczy bardzo cennych, ale zmieszanych ze śmieciem i błotem. Istna prostytucja i wydawnicza i księgarska, uprawiana dla podłego zysku albo dla gorszych jeszcze celów — *dla upodlenia społeczeństwa.*

Firmy wydawnicze, księgarskie i kolportażowe dobrze znane w całej Polsce rozszerzają takie fałsze i brudy, że powinny być za to ukarane conajmniej odebraniem koncesji.

Nie sięgając daleko weźmy na dowód choćby spółkę kolportażową „Ruch" z jej kioskami kolejowemi. Zadałem sobie trud i przejrzałem jeden z nich na Dworcu głównym w Warszawie. Znalazłem tam pełno plugawstwa, wstrętną mieszaninę dobra i zła. A w imię czego? W imię przeklętego liberalizmu, który napróżno usiłuje zrównać fałsz z prawdą, występek z cnotą i zatrzeć granicę między dobrem i złem.

Precz z tem łajdactwem! Nie popierajmy ich tylko, a zbankrutują w kilka miesięcy.

Musimy do tego doprowadzić. Rozlega się dziś słuszne hasło: *„Nie kupuj u Żyda! Popieraj swego!"*

Trzeba dodać: „Nie kupuj u polskiego łajdaka! Popieraj uczciwego!"

Nie trudno wprowadzić w czyn to hasło. Mamy dość wydawnictw sztandarowych katolickich, niesplamionych prostytucją wydawniczą i księgarską.

Twórzmy filje na prowincji w każdem miasteczku, w każdej parafji, dajmy braciom naszym zdrowy pokarm.

Potrzeba czytelnictwa i środki materjalne na czytelnictwo są ograniczone. Gdy zaspokoimy tę potrzebę w sposób naturalny i uczciwy, ręce braci nie wyciągną się po brudną literaturę.

Ogólnopolski Zjazd Katolicki w Warszawie w roku, zdaje mi się, 1921 uchwalił zakładanie biur prasowych w każdej parafji z centralą diecezjalną na czele. Rozmaite trudności stanęły temu na przeszkodzie.

Obecnie, gdy Akcja Katolicka ze swemi diecezjalnemi i parafjalnemi rozgałęzieniami obejmować poczyna całą Polskę, nic łatwiejszego, jak wykorzystać gotowy już aparat i stworzyć sekcję prasową w każdej parafji dla propagandy dobrych pism i książek, a zwalczania złych i szkodliwych.

Byle tylko katolicy zechcieli. Warto tej sprawie poświęcić kilka nabożeństw majowych i zamiast bujać w obłokach lub prawić słodkie androny, należy stanąć na gruncie życiowym i uderzyć w serce wroga, który z Polski chce zrobić cuchnące gnojowisko.

Źlem się wyraził. Nie w serce, lecz w kieszeń, bo on niema ani serca, ani sumienia. Tem mocniej zatem bijmy go po kieszeni. Zobaczymy, kto przetrzyma.

Jeden z naszych Szanownych Przyjaciół wyraził się niedość ściśle, że właściwie cała walka tak zwanych *„dwóch światów"*, jakiej obecnie jesteśmy świadkami, toczy się o pieniądz, o materję.

Nie, tam jest coś więcej: u podstaw tej odwiecznej walki jest przeciwieństwo duchów, przeciwieństwo dobra i zła, Chrystusa i antychrysta. Ale trzeba przyznać, że głównym środkiem, jakim posługuje się obóz ciemności, jest pieniądz.

Dodajmy do tego kłamstwo i przemoc, posuniętą aż do morderstwa, a będziemy mieli dokładną charakterystykę tego obozu.

Na kłamstwo odpowiemy spotęgowanemi promieniami prawdy. Przemoc siłą odeprzemy, w myśl słusznej samoobrony: „Gwałt niech się gwałtem odciska".

A pieniądz im odbierzemy, bo to nasza własność, nasza krwawica. Oni umieją tylko pożerać i niszczyć, a jeśli jeszcze żyją, to z naszej twórczości, z naszego grosiwa. Odebrać im to! Niech nam przestaną szkodzić za nasze pieniądze!

Czy to nie proste i zdrowe?

3. Pospolite ruszenie.

Nie jesteśmy organem oficjalnym Akcji Katolickiej. Pojmujemy rzeczy tak, jak nam rozum i wiara dyktuje.

Akcję katolicką uważamy na podstawie urzędowych wydawnictw za wysiłek zbiorowy całego Kościoła, zmierzający do wykształcenia „elity" czynnych apostołów świeckich, wodzów akcji, którzyby porwali za sobą całe rzesze wiernego ludu.

„*Akcja Katolicka jest i zawsze będzie nad tłumem wiernych garstką wybranych, rodzajem duchowej arystokracji* — czytamy w *„Podręczniku Akcji Katolickiej"* ks. Civardi, przyjętym w całym świecie katolickim (str. 64, wyd. „Książnicy Akcji Katolickiej" Nr. 18).

Nie zaprzeczamy potrzeby kształcenia „elity", bez której wszelkie ruchy masowe rozbijają się o przeszkody życiowe, jak okręt wśród ciemnej nocy o przybrzeżne skały. Dlatego też staramy się w naszym małym zakresie kształcić również „elitę" młodych i na wszystko zdecydowanych katolików.

Ale przyznamy się szczerze, że więcej nas pociąga i do serca przypada praca wśród mas i tłumów, zakrojona na tysiące i miljony.

Więcej nawet powiemy: nie wierzymy w żadne urabianie elity w oderwaniu od mas ludowych, od szerokich warstw społecznych, które są naturalnem podłożem wszelkiej zdrowej pracy społecznej.

Przekonani jesteśmy, że apostołów katolicyzmu i działaczy społecznych w duchu Chrystusowym nie wyrobi się przez prawienie im konferencyj i odczytywanie referatów, lecz przez czyn apostolski i społeczny. Wiedzieć, to my wiemy aż nadto, ale robić nam się nie chce. A wszak o zwycięstwie nie sama wiedza i dobre chęci, ale przedewszystkiem czyn decyduje.

Otóż na drogę tego czynu wejść nam trzeba odważnie i drugich za sobą pociągnąć.

Zmierzajmy wprost do wywołania *katolickiego pospolitego ruszenia.*

Wierzmy, że w dogmatach katolickich i w łasce Bożej taka się kryje potęga, że ona sama bez licznych sztucznych zabiegów zdolna jest wychować nowych ludzi i odnowić oblicze świata.

Zbliżmy tylko ludzi do prostej prawdy Chrystusowej i do łaski Bożej, a reszty Bóg sam dokona.

Tą drogą kroczyć usiłujemy.

Idziemy od kilkunastu lat do szerokich warstw społecznych *z dziełem Intronizacji* czyli poświęcenia rodzin, szkół, instytucyj, związków i całych parafij Najświętszemu Sercu Jezusowemu.

Idziemy z plebiscytem Wniebowziętej, prowadzonym w całym świecie przez Sekretarjaty Intronizacji Najświętszego Serca Jezusowego.

Idziemy z masowym werbunkiem ochotników do Armji Chrystusowej ku obronie frontu wewnętrznego zagrożonego przez judo-masonerję.

Dotrzemy nawet do wrogich Chrystusowi organizacyj i wyrwiemu stamtąd dusze, które szatan już pochwycił w swoje szpony.

Przyjaciele! weźmy się mocniej za ręcę! Przesyłamy Wam po obrazku Najświętszego Serca Jezusowego z przysięgą żołnierską. Żądajcie setkami. W 1920 roku 200 tysięcy podobnych rozdaliśmy żołnierzom idącym na front bolszewicki. Mają one już za sobą piękną tradycję.

Żądajcie odezw O. Mateo z drukami do zbierania podpisów w sprawie Wniebowzięcia. Odezwy „*W hołdzie Wniebowziętej*", któreście otrzymali przed kilku miesiącami, są pierwszym naszym wysiłkiem w tym kierunku. Trzeba go teraz podwoić, potroić... Podpisy napływają tysiącami.

Żądajcie popularnych książeczek (50 gr.) o „*Intronizacji Najśw. Serca Jezusowego w rodzinach*", wydanych na budowę pomnika Najświętszego Serca Chrystusa-Króla w Warszawie.

Żądajcie oficjalnej książeczki o Intronizacji, wydanej już w kilkunastu językach, a w polskim po raz pierwszy w Ameryce i obecnie powtórnie w kraju.

Trzeba nam silniej zewrzeć szeregi.

Wasz całem sercem *Ks. M. Wiśniewski.*

Wśród zwalisk Kolosseum.

SONET.

Straszliwa tu niegdyś bywała zabawa!
Pośród tłumem nabitej, cyrkowej obręczy
gromada męczenników na arenie klęczy,
skazana na kły bestyj z bestjalskiego prawa.

Wtem, jak z ciszy przed burzą, zerwała się wrzawa.
Wypadły lwy! Ten ryknął, ów w pląsach się wdzięczy,
wlepiły wzrok w swe żertwy, jak we widmo tęczy,
runęły!... Zamknij oczy, to orgja już krwawa...

W ruinach legły cyrki, przeszły dawne zbrodnie.
Lecz, puszczone na wolność z poza krat anatem,
bestje fałszu i kłamstwa grasują swobodnie.

Gdy do klatek nie będą zapędzone batem,
gdy do puszcz nie wystraszą ich Prawdy pochodnie,
znowu groza barbarji zawiśnie nad światem.

CHARIX.

Miłość i Nienawiść.

Jeden z moich przyjaciół lubi mawiać: „Język polski jest wprawdzie rodzaju męskiego, lecz naród polski jest rodzaju żeńskiego".

Oczywisty paradoks, boć jakże naród żeński, t.j. kobieco uczuciowy, mógłby wydać język, tak męsko energiczny, jak język polski? Pod postacią paradoksalną zdanie to wszakże zawiera dużo prawdy narodoznawczej. „Rządząca światem"— wedle słów biskupa-poety — męska połowa narodu polskiego, w przeciwieństwie do jego połowy żeńskiej, wydaje nadmierny odsetek czułostkowców, niewieściuchów, kierujących się raczej sercem, aniżeli rozumem. Wbrew naturalnej roli kierowniczej władz umysłowych, są one w nich poddane kierownictwu uczuciowemu.

Ta uczuciowość polska, ten „dulcis sanguis Polonorum", stanowi znamienny rys duszy polskiej i jest źródłem szlachetnych, ofiarnych, bohaterskich porywów i odruchów narodowych, odbijających korzystnie od twardego, napastniczego egoizmu innych narodów. Ma ona wszakże i swoją stronę nader ujemną i niesłychanie szkodliwą w swoich następstwach gospodarczych, społeczno-politycznych i religijnych.

Zalety, o ile jednostronne, mają swoje wady, i odwrotnie: wady mają swoje zalety. Emocjonalizm polski to raczej wada z pewną zaletą. Sprawia on, że bywamy lepsi dla obcych niż dla swoich, dla cudzoziemców niż dla rodaków, dla innowierców niż dla spółwyznawców, dla nieprzyjaciół, niż dla przyjaciół.

Dochodzi do tego drogą całkiem naturalną; to prosty wynik nastawienia uczuciowego.

Uczuciowiec organicznie nie znosi walki, choćby najsłuszniejszej, jest z natury czynicielem pokoju i, poniekąd, ma w tem za sobą Ewengelję, która go w tem jego nastawieniu umacnia. Chce być sam chrystusowo sprawiedliwym także i względem nieprzyjaciół i żeby spółwyznawcy jego byli rów-

nież tak sprawiedliwi. Tymczasem na wojnie, jak na wojnie. Drzazgi lecą. Że po stronie przeciwników dzieją się niesprawiedliwości, wołające o pomstę do Boga, to rzecz naturalna. Obrońcy sprawy złej skazani są na walkę środkami złemi. Lecz oto i dobrym, w zapale walki, zdarza się przeszarżować. To boli uczuciowca, bo chciałby w nich widzieć ideał rycerzy, nie tyle bez trwogi, ile bez zarzutu. Beztrwoga ich bowiem przejmuje go trwogą, by snadź krzywdzicielom nie uczynili krzywdy.

Jakże łatwo taka tendencja wpada w tendencyjność, widzącą po stronie prawej zło, którego niema, robiącą z muchy słonia i biorącą w obronę stronę lewą! A tej w to jeno graj! Zdobywa sojusznika w obozie naszym i nie omieszkuje wyzyskać go należycie. Ma w nim żywy argument dla poparcia swojej taktyki, polegającej na złowierczem wysuwaniu przeciw nam sfałszowanej Ewangelji, w sensie, jakoby Ewangelja obowiązywała nas do miłowania nieprzyjaciół aż do zaspokojenia szatańskich ich apetytów. Nasza zaś wada narodowa, nasza ustępliwa, dogmato - tolerancyjna miękkość, zdobywa sankcję ewangeliczną.

Miałem sposobność studjować ten typ „ewangelistów", m. in., na pewnym wybitnym przedstawicielu jego duchownym.

Mąż ten, senator z ducha, który w więzieniach bolszewickich zdobył prawo do tytułu wyznawcy, powziął dla bolszewików coś w rodzaju sympatji, gdyż dali mu doświadczyć słodyczy cierpienia za Kościół. Że również rozstroili mu nerwy, tego im nie pamięta. Powiada, że wiele się nauczył w bolszewickim uniwersytecie cierpienia. Kto przezeń nie przeszedł, temu trudno dojść do tej wyższej nauki mistycznej. Z tego stanowiska nasz senator broni bolszewików przed ich przeczernianiem. I tak są dość czarni w naturze. Jeszcze ludzie to, nie biesy. Nie dowód, że Dostojewskij biesami nazwał ich poprzedników — nihilistów. Każdą przesadę w ich potępianiu wyzyskują oni dla obalania także i oskarżeń słusznych. Wzniosła zasada! Lecz najmniejsze odchylenie od niej

na lewo, o co tak łatwo w duszy, która jej hołduje, grozi szkodliwemi dla dobrej sprawy następstwami.

Dostojnik nasz duchowny lubi deklamować Żukowskiego parafrazę psalmu 14-go:

„Komu, o Gospodi, dostupny
Twoi sionski wysoty?
Tomu, czji myśli niepodkupny,
Czji ciełomudrenny mieczty!"

Niestety, dalszego ciągu nie pamiętam, krom oderwanego zdania, w którem wszakże siedzi sens, o który tu właśnie chodzi: „Kto na wraga nie klewietał". To znaczy, że wyżyny syońskie są dostępne dla tego, kto wroga nie spotwarzał.

Czyżby? — pytamy zdumieni. Czyżby ten szczegół parafrazy Żukowskiego był zgodny z duchem Starego Zakonu wogóle, w szczególności zaś z duchem psalmów, obfitujących raczej w inwektywy przeciw nieprzyjaciołom tego Zakonu, inwektywy zresztą święte, uzasadnione potrzebą jego obrony? Sprawdźmy! Sprawdzamy, i okazuje się, że dotyczący werset głosi coś wręcz przeciwnego: wyżyny syońskie dostępne są temu, kto „zelżywości nie przyjął przeciw bliźnim swoim", to zn.: nie dopuścił do siebie potwarzy, miotanych przez pogan przeciw wyznawcom Zakonu.

Nasz teolog atoli, mimo że mocny, nie zwrócił na to uwagi, zwrócić nie był zdolny psychicznie, albowiem w parafrazie Ż. olśnił go ideał jego własny, stojący już na wyżynie Zakonu Nowego: ideał miłości bliźniego, obejmujący także i nieprzyjaciół, i to nie tylko osobistych, ale i Bożych, ale i Chrystusowych.

Olśnienie, charakterystyczne przez to błędne przypisanie ducha ewangelicznego duchowi mozaizmu. Świadczy ono o jednostronności nastawienia w kierunku, słusznej w zamierzeniu, obrony nieprzyjaciół Krzyża przeciw zbyt namiętnym Krzyża obrońcom. Stąd jednak, z tej jednostronności, wietrzącej uchybienia ze strony krzyżowców, pod wpływem podnieceń polemicznych krok tylko jeden do niesprawiedliwości

na szkodę sprawy krzyżowej w imię sprawiedliwości bezwzględnej, do obrazy swoich w imię nieobrazy przeciwników. Niesprawiedliwością będzie już choćby tylko przesada w jednostronnem oskarżaniu; krzywdą będzie już choćby zoilskie czepianie się drobiazgów, stosowanie do uchybień ważki aptekarskiej bez żadnego względu na podniecającą atmosferę walki, nieznający pobłażania rygoryzm sądu z jednej strony, prawej, wobec liberalnego laksyzmu w stosunku do strony lewej.

Tego rodzaju akcja pacyfikatorska prowadzi do moralnego rozbrajania dobrych, a dożbrajania złych przez dodawanie im tyle otuchy, ile się jej odejmuje tamtym. Słusznie Pro Christo nazwało takich jednostronnych pacyfikatorów „nerwowymi przyjaciółmi" i słusznie dało im odprawę. Możnaby ich też nazwać z Hijobem „consolatores onerosi", co raczej zasmucają, niż pocieszają w trudach i mękach walki.

Nadmierna uczuciowość jest o tyle jeszcze szkodliwsza, że sięga w sferę dogmatu. Dogmat katolicki jest twardy z natury, jak brylant, lecz w duszy ludzkiej podlega podmiotowym nań reakcjom. Miękka dusza go zmiękcza. Jeśli go sobie przedstawimy jako kościec, który trzyma ciało we właściwej mu postawie, to człowiek miękoduszny jest miękokościsty dogmatycznie, wskutek czego łatwo się gnie i ustępuje pod naciskiem uczuciowym. Cały gmach wiary buduje on na uczuciu i z wątku uczuciowego, co prowadzi wprost do modernizmu, jeśli nie formalnego filozoficznie, to praktycznego. Dotknięty szopenhauerowskim weltszmercem, obejmującym całość stworzenia, wprawdzie nie zaprzecza Boga razem z twórcą filozofji pesymizmu i z nim nie mówi, że gdyby Bóg stworzył świat, to nie chciałby być Bogiem, bo nie zniósłby niedoli świata. Wszakże, jak wyznaje prof. M. Zdziechowski, klasyczny u nas przedstawiciel katolików tego typu, wiara ich się chwieje za lada nieprzyjaznym podmuchem uczuciowym.

„Podstawy rozumowe wiary — pisze sz. prof. w brosz. „O okrucieństwie" — są z natury rzeczy (!) kruche, i gmach, który na nich stanął, trzeba ciągle i pracowicie naprawiać.

W końcu zdaje się, że już jakotako trzymać się będzie. Ale oto idę ulicą i widzę woźnicę, katującego konia, obarczonego ciężarem nad miarę, albo widzę oprawcę, chwytającego skowyczące w przerażeniu psy, staje przedemną żywy obraz tego, co je czeka, — i z trudem i mozołem wzniesiony gmach rozpada się, trzeba znowu od początku zaczynać budowę" (55).

Dobrze, że Szopenhauer nie chciałby być Bogiem, bo byłaby to sama miłość bez rozumu, którąby zgotowała światu katastrofę bez ratunku; źle jednak jest z wiarą, którą skowyt psa może obalić. Bo jakże ją odbudować, jeśli się sobie jakoś jednak nie wytłumaczy rozumowo ujemnych zjawisk życiowych tego rodzaju, tak, żeby swą wiarę na przyszłość od takich katastrof zabezpieczyć? Ale cóż! Rozumowanie religijne jest „kruche", a wiara w Boga jest raczej „gwałtem przeciw rozumowi", bo to, co się dzieje w świecie, „zbyt głośno krzyczy" — nie przeciw grzechowi i jego twórcy, szatanowi, lecz „przeciw Bogu"! Pewniejszym budowniczym ma być uczucie, co z tego jednak znowu, kiedy ono tak rozpaczliwie łatwo burzy swoje własne budowle, niby domki karciane?!

Czy wszakże uczuciowcy istotnie, jak to sami sobie wyobrażają, górują przynajmniej miłością nad ganionymi przez nich bojownikami Krzyża? Mamy przeciw temu poważne zastrzeżenia.

Stwierdzamy ciekawe zjawisko psychologiczne. Miłość, przeciągnięta nad miarę na korzyść nieprzyjaciół, kurczy się na szkodę przyjaciół; jeśli nieprzyjaciel jest społeczny, to na szkodę społeczeństwa. Zjawisko to występuje również i na tle naszego ludzkiego ustosunkowania się do świata zwierzęcego. W swojej broszurze „O okrucieństwie" prof. Z. poświęca jeden rozdział także i sprawie tego stosunku. Jego rozwiązanie tego problemu, czy też jego, wobec tegoż, stanowisko jest tak znamienne dla postawionej tylkoco tezy, że wypada rozważyć je bliżej.

Sz. autor wyznaje, iż, będąc dzieckiem, płakał nad staremi końmi, prowadzonemi na rzeź przez żyda, i marzył o „sro-

giem ukaraniu" go, gdy zostanie królem. I tak mu było pilno do tego, że byłby to pierwszy akt jego panowania. Obecnie, gdy stał się on już mężem sędziwym, stosunek jego do zwierząt pozostał taksamo czuły, jenoże zyskał filozoficzno-religijne uzasadnienie. Właśnie ono jest bardzo ciekawe.

Wkraczając w sferę dogmatu, sz. prof. znajduje, że chrystjanizm niedość bierze zwierzęta w obronę przed okrucieństwem ludzkiem. Zdaniem jego, według Biblji, Bóg dał człowiekowi nad zwierzętami władzę nieograniczoną i nieodpowiedzialną, a nie, poprostu, panowanie, godne człowieka, zjednoczonego z Bogiem (ks. Rodzaju, 1.28). Bóg jest jakoby dla sprawy niższych swoich stworzeń zupełnie obojętny. W księgach świętych, tak żydowskich, jak i chrześcijańskich, p. Z. nie znajduje wyrazu litości dla zwierzęcia. Na dowód tego braku powołuje się na opowiadanie Szopenhauera o pastorze, który, wezwany do wygłoszenia kazania przeciw dręczeniu zwierząt, odparł, iż nie znajduje do tego żadnej podstawy w Piśmie. Tymczasem, nie szukając specjalnie, możemy się powołac choćby na oślicę, bitą przez Balaama, w której obronie wystąpił aż anioł; na sielankowy obrazek psa, kręcącego ogonem z radości na powitanie młodego Tobjasza; na przykazanie Boże: „Sześć dni robić będziesz; siódmego dnia odpoczniesz, aby odpoczął (także) wół i osieł twój"; albo jeszcze inne: „Nie zawiążesz gęby wołowi, trącemu na boisku zboże twoje". Teksty te świadczą dostatecznie o duchu humanitarnym, ożywiającym Stary już Zakon w stosunku do zwierząt.

Ów pastor, rzekomo, nie chciał iść za przykładem monachijskiego tow. przyjaciół zwierząt, które chcąc oprzeć swą odezwę na Piśmie, zamiast tekstów przytoczyło tylko ich miejsca, co, wedle Szopenhauera, było pobożnem oszustwem, gdyż jakoby owe teksty, tylko z pomocą wielkich naciągań mogły być dostosowane do celów towarzystwa. Pytam, czy przytoczone powyżej ustępy nie nadają się do tego bez żadnych naciągań?

Nie lepiej ma się dziać w chrześcijaństwie. Osobliwie,

chrześcijanie mają serca tak zatwardziałe, że gdyby ksiądz począł z ambony zachęcać do litości nad zwierzętami, niezawodnie poczytanoby mu to za dziwactwo, a może nawet i dopatrzonoby się w tem powiewu herezji, poczętej z ducha Azji. Niektórzy tylko święci znali tę litość i ją zalecali, a Franciszek z Asyżu w glorji swej Pieśni Słonecznej, w której ubratnił i usiostrzył całą przyrodę, to odosobniony wystrzał kwiatowy, którym wystrzeliło raczej ukochanie natury, niż genjusz chrześcijaństwa.

Co do kaznodziejstwa, wystarczy powołać się choćby na „Zbiór przykładów dla katechetów, kaznodziejów i nauczycieli" ks. prof. Spirago (przekład z czeskiego przez ks. Galanta), gdzie cały rozdział, podciągnięty pod 5-te przykazanie dekalogu, został poświęcony sprawie obchodzenia się ze zwierzętami.

A Seraf z Asyżu? Toć sama już owa Pieśń świadczy, że źródłem, z którego wypłynęła jego miłość stworzenia, była miłość Boża, i to taka, jakiej nie szukać poza Kościołem. Toteż nie gdziebądź indziej, jeno w Kościele jedyny ten tej miary w dziejach świata kwiat miłości ku stworzeniom wystrzelił. Tymczasem, według prof. Z., chrześcijaństwo na tem polu zostało prześcignięte przez starożytną Grecję, gdyż ona zmyśliła sobie Artemidę, jako opiekunkę zwierząt (możnaby dodać jeszcze i *Pana*, obrońcę trzód i pasterzy, obdarzonego głosem, budzącym *panikę* w ich wrogach), oraz buddaizm.

Budda ma być „o wiele głębszy i realniejszy" na tym punkcie, niż św. Paweł, mówiący o „wzdychaniu i boleniu wszystkiego stworzenia" i zapowiadający rzecz nadzwyczajną, na której niektórzy Ojcowie budują hypotezę zmartwychwstania i zwierząt: wyswobodzenie wszech stworzeń „z niewolstwa skażenia" ku chwale synów Bożych (do Rzym. 8.21,22).

W czemże głębszość i realniejszość nauki Buddy? W religijnym, obłędnym kulcie zwierząt, logicznym wypływie obłędnego dogmatu metampsychozy na tle panteistycznem. Nie od-

nosi się on zatem do zwierząt bezpośrednio, a lubo wychodzi im na korzyść, to kosztem ogłupienia ludzi.

P. prof. Z. ma zato własny swój dogmat, spółczesny, „naukowy", którym uzasadnia swój ultraidealistyczny stosunek do zwierząt. Czego w buddyźmie dokonał panteizm, tego dokonywa jakoby nauka, stwierdzając daremność przeprowadzenia ścisłej granicy psychicznej między człowiekiem a zwierzęciem, narazie tylko „wyższem". „Prawdę zaś nauki uzna religja tak, jak uznać musiała, że ziemia obraca się naokoło słońca". Jestto zdanie St. H. Chamberlaina, lecz p. Z. na nie się pisze. Niestety, niema tu analogji. Sprawa obrotów ciał niebieskich jest sprawą czysto naukową, z którą religja ma związek tylko przygodny i głos oddała nauce; natomiast sprawa różnic psychicznych między zwierzęciem a człowiekiem należy do religji ex professo i ona tu rozstrzyga w instancji najwyższej. Rozstrzygnął ją, zresztą, od wieków sensus communis, powszechny rozsądek ludzkości, pominąwszy poszczególne od niego aberracje, jakkolwiek potężne i masowe. Ten, jak wyśmiał już przez usta Lafontaine'a, w bajce o sowie i myszach, teorję Kartezjusza, która tak oburza naszego sz. profesora, że zwierzę jest tylko machiną, tak wyśmiewa lub wyśmieje twierdzenie przeciwległe o braku różnic jakościowych między zwierzęciem a człowiekiem. Poczęło się ono z ducha niwelującej wszelką hierarchię demokracji, która, ku zadowoleniu także i prof. Z, wreszcie się wali.

Tymczasem jednak Sz. autor trzyma się swego dogmatu, zacierającego różnice jakościowe między fauną a rodzajem homo sapiens. O stwierdzenie go chodzi nam tutaj. On nam tłumaczy egzaltowaną dobroć dla zwierząt z jednej strony, a mizantropję, zwłaszcza w stosunku do chrześcijaństwa (mizochrystyzm), z drugiej; na takim zaś stosunku do tych stron demonstruje się doskonale zaznaczone powyżej prawo duszoznawcze, którego mocą nadmiar miłości w jednym kierunku wywołuje brak jej w kierunku przeciwnym.

Widzieliśmy, ile to krzywdzącej, okrutnej niesprawiedli-

wości sądu o chrześcijaństwie spowodowała przesadzona dobroć dla zwierząt. Chrystjanizm, rzekomo, wykopał przepaść między światem ludzkim, o ile ten się mu poddał, a światem zwierzęcym. Natomiast, sz. profesora, wślad za Guyonem, autorem „La cruauté", zachwycają błogosławione krainy buddyzmu i szintoizmu, bo wyznawcy tych religij „wiedzą, że niema zasadniczej różnicy między człowiekiem a zwierzęciem".

Niestety, nie wie o tem chrystjanizm! To też jest nieczuły na — mięsożerstwo, lecz „zwierzożerstwo", a święci katoliccy, chociażby najbardziej zamizerowani postami, ale jednak nie odrzucający bezwzględnie pokarmów mięsnych, są mniej szlachetni od, jakoby, wegetarjanów, takich, jak Schelley, Wagner, Sołowiew, Lew Tołstoj. Toteż chrystjanizm nie zdolny jest wznieść się do szczytnego oburzenia prof. Z. przeciw przyjętemu pospolicie wyrażeniu o śmierci zwierząt, że one „zdychają", nie zaś umierają, lub „wyziewają ducha". Toteż, myśl chrześcijańska jest tak ograniczona, że, gdy mowa o okrucieństwie, nie może dopatrzyć się krzywdy zwierząt w określaniu go wyrazem „zezwierzęcenie", natomiast widziałaby krzywdę człowieczeństwa w przypuszczalnem prawie zwierząt do używania w takich wypadkach słowa „zczłowieczenie", a to choćby przez wzgląd, jeśli nie na Franciszka z Asyżu, gdyż on, prawdopodobnie, o zwierzętach mówił, iż one zdychają (sz. prof. ma, co do tego, wątpliwość), to przez wzgląd na ich przyjaciół buddyjskich i entuzjastów tychże. Toteż miłość chrześcijańska niezdolna jest odczuć miłosnego powiedzenia Szopenhauera, któremu nasz autor przyklaskuje, iż ludzie wydają mu się djabłami, a zwierzęta— dręczonemi przez nich duszami.

Jeśli jednak chrystjanizm jest tak tępy umysłowo i zimny uczuciowo, to sz. profesor nie chce wiedzieć o jednej ważnej rzeczy. Godność człowieczeństwa, spadłą w pogaństwie wskutek grzechu pierworodnego na poziom zwierzęctwa, podniósł on z powrotem na wyżyny pierwotne przez dogmat odkupienia. Jakkolwiek, w zasadzie, temsamem poprawił dolę

i zwierząt pod panowaniem człowieka odrodzonego, to jednak zarazem oddalił go od świata fauny. Ten właśnie skutek, bez uświadomienia sobie jego przyczyny, sz. profesor osądził jako wykopanie przepaści między obu temi światami: przepaści, którą jakoby zasypał dopiero rzekomy dogmat naukowy, niwelujący różnice psychiczne między niemi.

Sama natura tego „dogmatu" powoduje, albo też ex post usprawiedliwia, przesadzone uczucie dla zwierząt i czyni zeń obowiązek powszechny, mający znaleźć wyraz prawny w przyszłej „deklaracji praw zwierzęcia". Kompromituje go wszakże strona jego odwrotna: obrażająca Boga i człowieka mizantropja, mizochrystyzm i nawet mizoteizm.

Szan. profesor jest wszakże, mimo wszystko, człowiekiem wierzącym. Wierzy on, że „cierpienia człowieka i nawet niewinnych dzieci, mogą być tłumaczone z pomocą pojęć upadku, grzechu, kary, próby doczesnej i zagrobowej szczęśliwości wiekuistej". Nie tłumaczy to jednak, jego zdaniem, cierpień zwierzęcia pod panowaniem człowieka. A przecież wierzącemu nie trudno chyba tego wyrozumieć, jako dalszej nieuniknionej konsekwencji upadku króla stworzenia; łatwiej nawet, niż cierpienia niewinnych dzieci. Wytłumaczenie tego dają zlekceważone przez p. Z. na rzecz buddyzmu słowa św. Pawła, o których była mowa powyżej. W ich świetle, zrozumiałym staje się fakt ofiar bydłobójnych nie w samym tylko Starym Zakonie, ale i w całem pogaństwie. Również i taki fakt znamienny, jak wciągnięcie bydła do pokuty Niniwitów. Pozatem, trzeba wziąć pod uwagę także i prawo natury, którego mocą zwierzęta mają mniejszą, niż człowiek, zdolność odczuwania bólu zarówno fizycznego, jak i moralnego; im niższe—tem niższą. Chrząszcz, zgryziony nawpół w żuchwach swego prześladowcy, albo przekłuty szpilką, z apetytem spożywa pokarm, jaki się mu nawinie.

W nierozumieniu prof. Z. tkwi niedocena doniosłości grzechu. Miarą jego skutków jest Krzyż. Co wobec Krzyża znaczą wszystkie cierpienia nie tylko ludzkie, zasłużone, ale i zwierzęce, o ile pochodzą od skażonego człowieka, bez żad-

nej winy z ich strony? Zato, wedle słów Pawłowych, i na nie też spłynie z Krzyża „wyswobodzenie z niewolstwa skażenia". Tymczasem o Krzyżu w broszurze „O okrucieństwie" ani wzmianeczki, choć to punctum saliens w problemie cierpienia i lubo sz. autor, bądźcobądź jest wierzącym chrześcijaninem.

Sam Bóg wziął udział w powszechnem cierpieniu, udział najwyższy, niezawiniony absolutnie, dobrowolny, ofiarny pokutno-zastępczy! Jakże wobec tego faktu nieskończonej miłości Bożej dla stworzenia nie pogodzić się z jego cierpieniem? I jakże nie wyciągnąć stąd wniosku o najwyższej, z niczem nieporównalnej, doniosłości chrystjanizmu dla akcji humanitarnej w stosunku do zwierząt. Przecież prof. Z. go poniża, przekładając nadeń pogańską Grecję, buddyzm i szintoizm!! Pogaństwa te w jego oczach, wzięły rekord zwierzętolubny, gdyż odpowiadają jego egzaltacji oraz dorobionemu do niej dogmatowi.

Do jakiego absurdu dochodzi zwierzętolubna egzaltacja, świadczą psie (głównie, bo zresztą i kocie i kanarkowe etc.) cmentarze pod Paryżem i Berlinem, istne psiarnie marmurowe. Zwiedziłem był podparyski i na jednym z psich tam nagrobków wyczytałem napis, podpisany przez nieutuloną w żalu Tolę Dorian po stracie suczki Sapho:

„Si Ton Ame, Sapho, n'accompagne la mienne,
O chère et noble Amie, aux ignorés séjours,
Je ne veux pas du Ciel! Je veux, quoi qu'il advienne,
M'endormir comme Toi, sans reveil, pour toujours!" [1])

Wobec tego bluźnierczego szaleństwa blednie napis, jaki położył Byron na nagrobku swego ulubionego Boatwaina: „Posiadał piękność bez próżności, siłę bez zuchwalstwa, odwagę bez okrucieństwa i wszystkie cnoty człowieka bez jego wad".

Jeżeli słaba i zamulona obcemi domieszkami wiara pro-

---

[1]) „Jeśli Twoja Dusza, Sapho, nie ma towarzyszyć mojej, o droga i szlachetna Przyjaciółko, na nieznany spoczynek, to nie chcę Nieba! Chcę, choćby ono nadeszło, zasnąć, jak Ty, bez przebudzenia, na zawsze".

wadzi do szaleństw mizantropijno-filozoistycznych na gorąco, to niewiara, występująca pod szyldem postępu, popełnia je na zimno, z wyrachowaniem. Ją wogóle cechuje hypertrofja pozerskiej uczuciowości w stosunku do zwierząt kosztem człowieka. Jeżeli dziś ona nie rzuca chrześcijan dzikim zwierzętom na pożarcie, to daje im ludzkie wykwintne żarcie kosztem nędzy ludzkiej. Klasyczny przejaw tego rodzaju w latach przedwojennych rozgłosiła prasa światowa: nowojorscy miljarderzy-postępowcy wyprawili bankiet, na którym wyfraczeni murzyni usługiwali, przy specjalnym stole, wytresowanej psiarni. Dobre serca miljarderskie!

Zresztą zwierzętolubna egzaltacja może chadzać w parze także i z wiarą mocną i czystą, i również i wtedy towarzyszy jej obraza bliźniego. Pewien dostojny nauką i cnotą mąż dotkiwie obraził swego przyjaciela w obronie „kuzynek" — much, zabijanych w pokoju à là Wojski z „Pana Tadeusza". Obraziciel opamiętał się rychło. Wszakże znamienny dla naszej tezy fakt — faktem pozostał.

Przesadzona nerwowa chorobliwa uczuciowość atoli zawsze swoje zrobi. Nawet kiedy się objawi w duszy, dogmatycznie skądinąd mocnej i to w duchu czysto katolickim, to w niej dogmat rozmiękcza i prowadzi do uczuciowego zlewicowania na korzyść lewicy, a szkodę prawicy ideologicznej. Zdumiewać trzeba się nieraz, jak tędzy skądinąd teologowie, pod wpływem przerostu uczuciowego, bywają twardzi i surowi względem swoich, duchowo najbliższych, miękcy zaś i ustępliwi względem przeciwników, a zawsze sofistyczni i niesprawiedliwi, przyczem ich poczucie rzeczywistości kwalifikuje ich do miana mężów księżycowych.

Dla żywszego zobrazowania ich nastawienia pozwolę tu sobie przejść w formę dialogu między typowym księżycowcem a realistą. Księżycowca swego zlepiłem z dwóch, pokrewnych sobie, okazów tego typu, a w jego lokucjach uwzględnię inne rozdziały broszury prof. Zdziechowskiego „O okrucieństwie". Zaczyna ex abrupto realista, stawiając tezę:

— Pomimo całej skali różniczek duchowych między ludźmi, ostatecznie, panie profesorze, każdy człowiek ma swoje sympatje, względności, tolerancyjności i wyrozumiałości, z jednej strony, a z drugiej swoje antypatje, bezwględności, fanatyzmy i rygoryzmy. Wszystko zależy od ustosunkowania się do ludzi i rzeczy.

— Naturalnie, niewątpliwie!

— Bo każdy człowiek normalny zawsze coś kocha i czegoś nienawidzi...

— Poco ksiądz zaraz wyjeżdża z tą przeklętą nienawiścią?!

— Trudno przecież kochać zło i jego uosobienie: szatana, wraz z jego synami.

— (Milczenie).

— I pan profesor ma niewątpliwie nie tylko swoje miłości, ale i swoje nienawiści, i właśnie stwierdzam, że je pan rozkłada niezupełnie w duchu katolickim. Naprzykład, broni pan masonów i żydów, a łaje...

— Bo też wy poszaleliście na tym punkcie! Nie znacie żadnej miary w swojej judofobji i masonofobji. Wszędzie widzicie masonów. Według was, w Polsce co drugi człowiek to mason i są oni wszechpotężni. Sami szerzycie hipnozę przerażenia...

— Poco zaraz ta przesada na nasz rachunek? Pan profesor chce w niej utopić najrzeczywistszą rzeczywistość, która, i bez przesadzania jej, przedstawia się dość groźnie. Duch masoński przenika w masy katolickie, czyniąc z nich masońskie papugi. Oto niebezpieczeństwo!

— Ja sam jestem masonem z loży... księżycowej pod godłem: „Patrzcie na wszystko z księżyca!"

— Trafne samo określenie!

— Źle zrozumiane. Chcę przez to powiedzieć, że na wszystko, co ziemskie, należy patrzeć z wysoka, by wszystko sądzić beznamiętnie, przedmiotowo, sprawiedliwie.

— Choćby ze stratosfery... Trzeba jednak patrzeć stamtąd na ziemię, nie na księżyc.

— I trzeba patrzeć nie przez szkła uprzedzeń, okopcone dymem nienawiści, jak patrzycie wy, rzekomi realiści. Nie taki mason czarny, jak go malujecie. I on też człowiek nie bies.

— Są katolicy, którzy podobnie patrzą na „klerykałów" i „endeków". Zwalają na nich nieledwie całkowitą odpowiedzialność za wszystko zło polskie spółczesne. Ich zdaniem należy ustępować naporowi zła, a wszystko będzie najlepiej na tym najlepszym ze światów. Czysty tołstoizm, torowanie dróg rewolucji!

— Sami przeciw sobie wywołujecie represje swoją kłótliwością. Drugiego w Rzeszy, hitlerjańskiego, kulturkampfu mogło byłoby nie być, gdyby sam katolicyzm nie był ułatwił Hitlerowi zwycięstwa przez obalenie gabinetu Papena.

— Papena razem z Centrum zgubił demokratyzm, którego pan sam jest przeciwnikiem. Ale cóż? Są katolicy, którzy zawsze muszą zrobić kozłem ofiarnym katolicyzm. Nie chcą pamiętać o słowach Chrystusa: „quia odio habuerunt me gratis".

— Tylko jeden jedyny na świecie Człowiek mógł to powiedzieć o sobie. A my wszyscy musimy mówić z Izajaszem, żeśmy nieczyści et quasi pannus menstruatae wszystkie sprawiedliwości nasze.

— Prawda, prawda! Swoją drogą jednak Chrystus zapowiedział: „jeśli mnie nienawidzą, i was nienawidzieć będą" — także gratis.

— Żaden człowiek, ani nawet żaden ksiądz, nie ma prawa tego gratis powiedzieć o sobie!

— Ani nawet żaden święty, ani Kościół, wzięty zbiorowo?

— Póki człowiek żyje na ziemi, nie wie, czy jest godzien u Boga miłości, czy nienawiści, mówi Pismo.

— Może jednak i powinien wiedzieć przynajmniej to, że w Kościele nienawidzony jest Chrystus. Walka z „klerykalizmem" to tylko bezczelna maska, mająca ułatwić walkę z Chrystusem. Trudno też nie być indywidualnie świadomym miłości Chrystusa, gdy się Go kocha istotnie i za Niego cierpi. Świa-

domość tę miał i wyznał św. Paweł. Nie wiemy tylko, na co się Bogu zasłużymy ostatecznie. Istnieje wszakże i obowiązuje boska cnota nadziei...

— Istnieje również i obowiązuje najwyższa z trzech cnót boskich, która sama jedna przetrwa czas i ostoi się w wieczności: miłość!

— Jeśli miłuję, muszę nienawidzieć tego wszystkiego, co się przeciwstawia przedmiotowi miłości.

— Bóg jest Miłość i tylko Miłość!

— Tylkoco słyszałem z ust pańskich cytatę z Pisma o nienawiści u Boga.

— Antropomorfizm!

— Więc Miłość Najwyższa obejmuje także i zło?

— Obejmuje także i złych.

— Czy i złych, w złem zatwardziałych i utrwalonych z własnej woli na wieki, jak szatani i potępieńcy?

— Nienawidzę nienawiści!

— Brawo! Więc jest coś, czego i pan profesor nienawidzi. Ale nienawiść,—zła, godna nienawiści nienawiść, istnieje zasadniczo po stronie ludzi złych, pan tymczasem ze szczególnem upodobaniem staje w ich obronie.

— Bo mnie boli szczególnie nienawiść po stronie urzędowych wyznawców nauki miłości. Ta sprzeczność między teorją a czynem musi razić najboleśniej. Jest w tem najobrzydliwszy, bo obłudny, satanizm pod pokrywką boskości i, koniec końców, obraca się na poniżenie Kościoła i odstępstwo od niego dusz najszlachetniejszych. Najpotworniejszym wyrazem jego dziejowym były tortury, uprawiane przez świętą Inkwizycję. Świętość skojarzona z djabelstwem: czy może być coś bardziej perwersyjnego?

— Czy na serjo pan widzi w tem satanizm? Święty Piotr Damjan własnego przyjaciela, papieża Grzegorza VII, określił jako „sanctus sathanas”. Ale to był przecież tylko świetny paradoks.

— Tej perwersji, po ludzku, po ziemsku, wytłumaczyć

nie potrafię. Tłumaczę ją metafizycznie potęgą Ciemności, szturmującej do opoki Kościoła; opętaniem tych, co jej ulegli i społecznością kościelną kierowali. Tak myślał i wielki konwertyta, Włodzimierz Sołowiew. Cieszmy się, że atak został odparty raz na zawsze!

— Skąd pewność, że raz na zawsze? Ani szatan nie stracił swej mocy, ani natura ludzka nie uległa zasadniczej zmianie na lepsze. Kościół wciąż pracuje nad jej naprawieniem in Christo i, mimo ustawicznych przeszkód ze strony szatana i jego synów, osiąga w masach poważne, a w świętych świetne wyniki. Lecz i one nie dają bezwzględnej rękojmi trwałości dzieła naprawy. Zawsze istnieje możliwość recydywy. Świadkiem spółczesny neopoganizm.

— Rękojmię daje postęp cywilizacji...

— Chyba tej, która w wieku 20-tym wystrzeliła kwiatuszkiem inkwizycji bolszewickiej, zwanej GPU.

— To wstrętny kwiat Wschodu, wyrosły na glebie, użyźnionej przez Iwanów Groźnych i Piotrów. Przyjaciołom swoim rosyjskim mówię, że dopóki nie przeklną pamięci Piotra, zpod uroku którego nie mógł się wyzwolić nawet Mereżkowskij, choć widział całą jego potworność, bo, jak wyznał, każdy Rosjanin ma w sobie coś z Piotra, dopóty jarzma bolszewickiego z siebie nie strząsną.

— Ten wszakże kwiat Wschodu wyrósł z posiewu Zachodu („zapadniczestwo"!) i znajduje zapaleńców na Zachodzie. De facto jednak, przyznaję, postęp, bądź co bądź, istnieje, lecz tylko w Kościele, poza którym niema postępu, jak niema wogóle zbawienia. Skoro tedy zniknięcie praktyki tortur w społeczeństwie katolickiem tłumaczy się postępem, to istnienie jej przedtem tłumaczy się a pari niższym wówczas poziomem cywilizacji. Takteż osądzili ją historycy i apologeci katoliccy. Uznali w niej produkt posiewu nauki chrześcijańskiej na glebie barbarzyństwa, uprawionej zresztą przez stare prawodawstwo rzymskie.

— Kościół pierwszych wieków odrzucał gwałt jako śro-

dek apostolstwa. Nie z jego więc ducha wypłynęła praktyka tortur, lecz z ducha biegunowo mu przeciwnego. Na tym biegunie może być tylko satanizm.

— Gdyby to był przejaw satanizmu, nicby Kościoła nie ustrzegło od jego powrotu w sprzyjających mu warunkach. Strach wprost pomyśleć, że Kościół mógłby być kiedykolwiek opętany przez szatana. Byłby to jego koniec. Lecz portae inferi non praevalebunt adversus Ecclesiam!

— Toteż non praevaluerunt! Kościół zdołał się wyzwolić...

— Czy raz na zawsze? — zapytuję znowu. Gotowiśmy wpaść w błędne koło.

— Proszę jednak żywo, jak najżywiej, wyobrazić sobie zakapturzonego inkwizytora, jak, przypatrując się z pod kaptura mękom swojej ofiary, odmawia przepiękny psalm Miserere. Jakaż potworna scena! Modlitwa, skojarzona z najpodlejszym pod słońcem aktem, jakim jest okrucieństwo! Nieszczęśni! Ani się nie domyślali, że modlitwa w takich okolicznościach i w takim duchu była bluźnierstwem, była satanizmem.

— Byli opętani i nie domyślali się tego nawet! Co za spryt szatański!

— A tak, a tak! Wypędzenie szatana przez szatana należy właśnie do repertuaru sztuczek szatańskich. Stosując się do ducha czasu, szatan nowy wypiera starego, by zająć jego miejsce ..

— „A jeśliż szatan rozdzielon jest przeciwko sobie, jakoż ostoi się królestwo jego?" Szatani nie tacy głupi, jak bywają ludzie.

— Chrystus stwierdził istnienie szatanów różnego rodzaju. „Tenci rodzaj nie bywa wypędzon, jedno przez post i modlitwę". Zastępstwo specjalisty jednego rodzaju przez specjalistę rodzaju drugiego nie wyłącza solidarności. W Trzeciej części Dziadów mamy bardzo psychologiczny obrazek walki złych duchów między sobą o duszę Konrada. Różnią ich tylko sposoby brania się do rzeczy, obu jednak stronom walczą-

cym chodzi o jedno. Spłoszeni stukaniem do drzwi i zgrzytem klucza we drzwiach, solidarnie się ostrzegają. Pierwszy wzywa: „W nogi!" — drugi: „Pop, klecha! Przyczajmy się i schowajmy rogi!"

— To nie żadna sztuczka, jeno zwykła walka o taktykę, jak stwierdził sam pan profesor. Nam chodzi o istotne wypędzenie szatana przez szatana i jego skuteczność.

— Inkwizycja wypędzała szatana herezji przez szatana okrucieństwa i szatan na tem wygrywał.

— Jeszcze więcej tracił! Tracił tyle, że podziśdzień nie może tego przeboleć i lamentuje przez swoich synów, usiłując przytem się odegrać z pomocą góry oszczerstw na rachunek Inkwizycji oraz przez fałszywe jej oświetlanie. Właśnie istotę naszego zagadnienia stanowi fałszywe prześwietlanie jej satanizmem. W tem tkwi rzeczywiście sztuczka szatańska. Faryzeusze zarzucali ją bluźnierczo i niedorzecznie Chrystusowi, a dziś zarzuca się ją Kościołowi, jakoby narzędziu szatana, chociaż bezwiednemu. Zarzuca mu ją obóz szatana, są zaś katolicy, którzy mu wtórują... z miłości. Historja się powtarza. Nigdzie jednak i nigdy nie powtarza się ona w taki sposób, w jaki żywot Chrystusa powtarza się w życiu Kościoła. Powtarza się więc i ten wypadek ewangieliczny, że kiedy Chrystus napiętnował faryzeuszów mianem synów szatana („wy z ojca djabła jesteście"), to oni w odwet wrzasnęli: „Tyś sam jest samarytan i czarta w sobie masz!"

— E pur si muove! W praktykach Inkwizycji, jakby na urągowisko nazwanej „świętą", było coś szatańskiego. Tego przekonania nic mi z głowy wybić nie zdoła.

— Przekonania? Może raczej wrażenia, skoro pan profesor buduje swój światopogląd uczuciem i na uczuciu. Pójdę jednak na ustępstwo. Coś szatańskiego jest w każdym grzechu, bo już przez grzech pierworodny szatan wszczepił w naturę ludzką satanizm, to jest ducha buntu przeciw Bogu, ducha rewolucji. Inkwizycja jednak, w swem założeniu, była

przeznaczona do walki z tym duchem, stąd miała prawo do tytułu świętej.

— Non sunt facienda mala, ut eveniant bona. Skutki tej „świętej" roboty odbijają się podziśdzień na Kościele; podziśdzień Kościół z jej powodu traci ludzi najszlachetniejszych.

— Nie traci świętych, to i dosyć. „Traci" zaś przedewszystkiem katów ludzkości, moralnych naprzód, którzy na karb Inkwizycji złowierczo zmyślili moc zbrodniczych oszczerstw i z jej powodu zrobili z papieży i biskupów tłum katów, by usprawiedliwić swoje bezbożnictwo.

— Przez księdza przemawia nienawistny duch Inkwizycji. Taka właśnie polemika „katolicka" jest dalszym jej ciągiem i mierzi mnie niewymownie.

— Pan profesor cieszył się, że Inkwizycja należy już do bezpowrotnej przeszłości?

— W swojej postaci, że tak powiem, torturalnej.

— Jeżeli jednak żyje jej duch?

— Przeżytek, który w końcu musi ulec zanikowi na korzyść ducha Franciszka z Asyżu. Nie mógł tego ducha seraficznego zrozumieć Grzegorz IX, który Franciszka kanonizował, a z którego imieniem związane jest powstanie Inkwizycji. Rozumieją go już wszakże nasze czasy.

— Sabatiery, Staffy i ich sympatycy...

— W liście do magistratu miasta Viterbo w sprawie albigensów, Grzegorzowi IX wyrwały się nieostrożne słowa, że winnych obrazy majestatu cesarskiego prawo karze śmiercią; o ile jednak winniejsi są ci, co obrażają Majestat Boży? Wynikało stąd, że zasługują oni także na karę śmierci, skoro cięższej kary doczesnej wymierzyć nie można. To była zapowiedź karania heretyków śmiercią. „Dziwna, zaiste, logika! — pisze z tego powodu biskup Bonomelli. — Nie trzeba szczególnej przenikliwości, by wykryć zawarty w niej absurd. Zastanówcie się: każdy grzesznik jest buntownikiem przeciw Bogu, a zatem wszystkich skazać należałoby na śmierć, zaczy-

nając od królów i prawodawców". Oto duch postępu katolickiego, przed którym jest przyszłość!

— Biskup Bonomelli był, niestety, zarażony duchem modernizmu. Widnieje on i w tej jego krytyce słów Grzegorza IX. Słowa te są najlogiczniejsze pod słońcem, a w ich krytyce kryje się sofizmat. Papież mówił o obrazie Boga bezpośredniej, jaką jest heretyckie przeczenie nauki objawionej. Taka tylko obraza stanowi analogum do obrazy majestatu cesarskiego, którą nie będzie, naprzykład, niezapłacenie podatku lub uchylenie się od służby wojskowej. Zresztą, należy to do nauki katolickiej, iż każdy grzech ciężki zasługuje na karę śmierci, tylko że zastępczo za rodzaj ludzki podjął ją Chrystus, a do chwili dokonania się Jego ofiary zastępowały ludzi ofiary ze zwierząt.

— Nauka straszna!

— Nauka miłościwa, a straszny grzech!

— Ta nauka musi się zmienić pod dobroczynnym wpływem postępu oświaty.

— Liberalnej chyba, czyli masońskiej...

— O ileż ci wyklinani liberałowie są szlachetniejsi! Oni dają wam, księżom, i świeckim fanatykom katolickim, wzór miłości nieprzyjaciół.

— Kiedy z miłości bronią masonów i żydów? Ależ to są przyjaciele, albo i ...oni sami! Jak zaś oni kochają nas, istotnych swoich nieprzyjaciół?

— Oddają wam wetzawet to, na co zasługujecie.

— Zatem miłość starozakonna: oko za oko, siniec za siniec. Owszem, za jedno oko — dwa, a i to tylko dlatego, że więcej nikt nie posiada.

— Nie można od nich wymagać stosowania nauki, której nie wyznają.

— Sam pan profesor zatem przyznaje, że nie są wzorem miłości nieprzyjaciół.

— To wina wasza, żeście ich jej nie nauczyli swoim przykładem.

— Polemizujemy z nimi w zasadzie uczciwie, a zwalczamy ich w imię miłości społeczeństwa, rozumiejąc, że gotują zgubę i jemu i sami sobie. Natomiast przeciwnicy nasi są w wojnie z nami pełni perfidji i perwersji. Zrozumieć to i ocenić mogą tylko katolicy, naprawdę po katolicku nastawieni. Toteż nasza polemika, czy krytyka, nie mierzi ich, a raduje. I łatwo wybaczają nam usterki, popełnione w ogniu walki.

— Sam walczę ostro z komunizmem i bolszewizmem. Bolszewizm jest okrucieństwem zorganizowanem, i *nie jedynie* dlatego, lecz dlatego *głównie* z ohydą tą walczę w miarę sił i możności i zwalczam znikczemnienie Europy wraz z Polską, która katom Rosji przy każdej sposobności, w osobach swoich posłów, składa hołdy i nieraz pod hypnozą ogromu zbrodni gotowa jest wielbić zbrodniarzy. Pojmuję, że tam, gdzie chodzi o obronę najwyższych ideałów przeciw zaklętym ich wrogom, tam walka musi być ostra. W czerwcu 1848 r. generał Cavaignac, katolik wzorowy, zmasakrował 30.000 robotników w Paryżu i przez to wybawił Francję od rewolucji, zbliżonej do październikowej w Rosji. W roku 1871 wersalski rząd Thiersa krwawo stłumił komunę; padło kilkadziesiąt tysięcy komunardów i Francja znowu została uratowana. Ostatnio, w naszych oczach, kanclerz Dollfuss nie cofnął się przed masakrą socjaldemokratów austrjackich, tak zwanych austro-marksystów, najbardziej zbliżonych do bolszewizmu i stanowiących twierdzę socjaldemokracji europejskiej. Uratował przez to nie tylko katolicką Austrję, gdyż zwycięstwo rewolucji austrjackiej mogło byłoby wywołać podobną wojnę domową w Czechosłowacji i w Polsce. Takim zmaganiom orężnym musi się sekundować i nawet je uprzedzać, by do nich nie dopuścić.

— Z radością słyszę z ust pańskich to wyznanie. Dźwięczy w niem silnie nuta dobrej nienawiści, o którą mi chodzi, a dla której u nas tak mało zrozumienia. Im kto silniej miłuje, tem silniej też nienawidzi. Brak dobrej nienawiści świadczy o braku dobrej miłości. Wiele miłości przy braku

dobrej nienawiści to dowód, że miłość jest zła, że jej przedmiotem jest zło. Pan profesor nienawidzi okrucieństwa, jako przejawu nienawiści. Podzielam z nim to jego uczucie. Niestety, mam tu i „ale". Pan nienawidzi bolszewizmu, jak sam wyznaje, *głównie* dlatego, że jest on zorganizowanem okrucieństwem. Chwytam go za słówko: „głównie". W niem tkwi błąd, doniosły w następstwach. Dlaczego bolszewizm jest okrutny? Czy uprawia on okrucieństwo dla okrucieństwa? Gdyby tak było, dręczyłby wszystkich bez różnicy, bez żadnej z tych różnic, które dzielą ludzi religijnie, rasowo, narodowościowo, politycznie, społecznie, ekonomicznie. Tymczasem wcale tak nie jest. Dzieli on społeczeństwo na „towarzyszów" i „burżujów", bolszewików i przeciwbolszewików, rewolucjonistów i kontrrewolucjonistów, i, gdy pierwszych uprzywilejował, to drugich pozbawił wszelkich praw i sam nazwał ich „liszeńcami"—pozbawieńcami. — Już sam ten stan wyjęcia z pod prawa jest stanem niekończącego się nigdy udręczenia, stanem skazanego na powolną śmierć z głodu, i to wśród dostatków, jakich używają bolszewicy. Przewidziała go Apokalipsa, że wcieli go w życie „bestja" antychrystyczna: „I uczyni... iżby żaden nie mógł kupić ani sprzedać, jedno który ma cechę, albo imię bestji, albo liczbę imienia jej". Podobnych liszeńców wytwarzają już i nasze stosunki. Ale to jest dopiero tło udręczeń, stosowanych masowo do liszeńców, o ile zawinią cośkolwiek przeciw bezbożnickiemu prawodawstwu, a raczej lewodawstwu. Na to się tam czatuje, jak kot na myszy. Czego to wszystko dowodzi? Tego, że źródłem okrucieństwa bolszewickiego jest bezbożnictwo, że zatem ono powinno być głównym przedmiotem nienawiści. W ten sposób dopiero sięga się do samego źródła zła i umożliwia się skuteczną z niem walkę. Nie koniec na tem! Uznanie bezbożnictwa za źródło okrucieństwa prowadzi do odróżnienia okrucieństw inkwizycyjnych od bolszewickich...

— Tak, tak; toteż ja odróżniam jedne od drugich, potępiając silniej, niż bolszewickie, okrucieństwa inkwizycyjne,

jako te, które występowały w imię Boże i, dlatego, obrażały Boga w sposób, budzący szczególne oburzenie i zgrozę.

— I to właśnie jest błąd, jako konsekwencja błędnego założenia. Skoro głównym przedmiotem nienawiści jest okrucieństwo, to niema podstawy do innych rozróżnień, prócz stopnia okrucieństwa. Dopiero gdy uznamy założenie, że źródłem okrucieństwa jest bezbożnictwo, zyskamy podstawę do wszelkich innych rozróżnień. W razie przeciwnym, musielibyśmy, razem ze zwarjowanym na punkcie ateizmu autorem „Boga-Rozsądku, uznać bolszewizm i katolicyzm za „kolegów".*)

— Jakiem prawem bezbożnictwo może być jedynem źródłem okrucieństwa, wobec faktu okrucieństw świętej Inkwizycji?!

— Sam pan profesor uznał je za satanizm, zatem za bezbożnictwo, owszem, przeciwbożnictwo.

— Stanąłem taktycznie na stanowisku księdza, by okazać jego nielogiczność.

— Każde złe pojmowanie Boga jest również bezbożnictwem, choć cząstkowem. Oczywiście jednak, bezbożnictwo cząstkowe jest złem mniejszem, niż całkowite. Stąd wynika, że i okrucieństwa...

— Właśnie, właśnie, Szanowny księże, tu i tam jednakowe.

— Nie poruszajmy już historycznej sprawy stopnia okrucieństw po obu stronach, bo to odprowadziłoby nas za daleko od tego, co nas w tej chwili zajmuje. Jedna rewolucja francuska starczy za wszystkie okrucieństwa katolickie, nie mówiąc o innych rewolucjach, z bolszewicką na ostatku, ani o trzywiekowem prześladowaniu chrześcijan. Tu chodzi o charakter okrucieństw. Określa go ich cel. Celem bolszewików jest wytępienie wiary w Boga, celem katolików—jej obrona. Tam okrucieństwo jest prześladowcze, tu było ścigające, karne. Tam ono *jest*, jest w wieku 20-ym, tu było i, jak sam pan profe-

*) Dr. Leon Świeżawski. Por. moje „Słońce Szatana", str. 65.

sor stwierdził, przeminęło na zawsze. Tam więc ono jest logiczną koniecznością, tu było przypadkiem, związanym z charakterem epoki. Psalm Miserere w ustach mnicha owych twardych czasów wobec torturowanej ofiary był naturalny. Dziś budzi to dreszcz zgrozy; lecz tylko w oczach okrutnego wroga okrucieństwa lub w oczach obłudnego inkwizytora z przeciwka może się wydać satanizmem. Inkwizytor średniowieczny miał oczy swojej karnej epoki. Liberalizm, krwawy w dążeniu do swoich celów, nienawidzi samego pojęcia kary, tępi je w umysłowości społecznej i ruguje z prawodawstwa. Zwłaszcza w stosunku do przestępstw natury religijno-moralnej. Natomiast jest tyrański wobec przestępstw przeciw władzy, gdy sam ją posiada. Broni w ten sposób swego stanu posiadania oraz głoszonej przez siebie wolności zła, wiodącej do jego hegemonji. Tą drogą liberalizm, niby wolnościowy, przeobraża się w bolszewizm, to jest absolutystyczne panowanie zła. I to jest dopiero prawdziwy i formalny satanizm z jego niesamowitą i odeń nieodłączną tyranją względem dobra. Ktokolwiek przeto całem sercem, jak pan, nienawidzi tyranji, ktokolwiek dąży do wytępienia okrucieństwa, ten musi zwalczać nie tylko bolszewizm, ale i liberalizm. Powszechnie przez myśl katolicką uznaną filjację między tymi dwoma, z pozoru przeciwnemi sobie, prądami ideowemi, przypieczętował Pius XI w encyklice Quadragesimo anno, stwierdzając, że „ojcem socjalizmu był liberalizm, a spadkobiercą będzie bolszewizm”. To tylko etapy w pochodzie Zła.

— Liberalizm jest konieczny dla łagodzenia także i dogmatycznej bezwzględności katolicyzmu.

— Katolicyzm jest samowystarczalny, ma prawo miłości bliźniego; a dogmat musi być twardy, jeśli ma być dogmatem i zbawczą swą siłę urzeczywistnić.

—Mnie porywają słowa Guyona, autora „La cruauté”: „Inteligencja dobrocią jest, nie złością. Co warte jest życie, jeśli doświadczenie nie uczy być dobrym, głupio dobrym — niezmiernie dobrym„ bêtement bon”,—co wart charakter, gdy wnikliwa dobroć

nie ma do niego dostępu?" Człowiek dumnie się mieni panem stworzenia, a pod względem moralnym, w swoich uczuciach i instynktach, o ileż niżej stoi od zwierzęcia! Zwierz drapieżnym bywa i krwiożerczym, ale z potrzeby; zdobycz swą dusi i pożera, rozkoszy w przedłużaniu jego męczarni nie szuka, nie pastwi się nad nią — z wyjątkiem chyba kota, ale któż powie, że kot uświadamia sobie równie żywo, jak człowiek, cierpienia istoty, którą trzyma w swoich pazurach?

— Uczucie ponosi pana profesora z powrotem do zagadnień, pomiędzy nami tu już przesądzonych; choć jego wybuch obecny przynosi z sobą także i coś nowego, co jeszcze lepiej oświetla jego stanowisko. Cieszy mię to, gdyż daje mi sposobność uchwycenia tego rozhukanego cielca za rogi. „Bêtement bon!" — jakież to charakterystyczne! Ślepa uczuciowość bez dogmatu! Nie, to nie warte niczyjej inteligencji. Inteligencja zgoła nie jest tożsama z dobrocią. Inteligentny, i to wysoko, wyżej niźli najwyższe genjusze ludzkie, jest djabeł. Okrucieństwo, które świadomie pastwi się nad swoją ofiarą, to nie coś poniżej zwierzęcego, ale powyżej. To właśnie djabelstwo, zaszczepione w naturę ludzką przez djabła w grzechu pierworodnym. „Bo lwy nie rozumują" — odpowiada jeden z rozmówców w dialogu Lukjanosa — „O miłostkach" na zarzut, że „lew ze lwem się nie żeni", to jest, że lwy nie uprawiają „grzechu geograficznego", jak sodomję określił profesor Baudouin de Courtenay. Tosamo powiedzieć trzeba o sadyźmie.—Kot nie tylko „równie żywo", jak człowiek, nie uświadamia sobie swego okrucieństwa nad myszą, lecz wogóle nie uświadamia go sobie wcale. Pochłania go całkowicie rozkosz figlowania. Zresztą, obrazą człowieczeństwa jest uogólnienie zarzutu okrucieństwa, kiedy się mówi ogólnie, że człowiek stoi niżej od zwierzęcia. Okrucieństwu ludzkiemu przeciwstawia się łaskawość Franciszka z Asyża i dusz, jemu pokrewnych. Ona ocala honor człowieczeństwa. Na tym wszakże przeciwległym biegunie nie postawię pana

profesora. Przesadzając w potępianiu okrucieństwa pod naporem uczucia, sam staje się pan okrutnym. Sprawdza się na nim prawo log czne i zarazem psychologiczne, że les extrêmes se touchent. — Pod miano okrucieństwa podciąga pan karną pomstę grzechu, potępiając ją z niem razem. I znowu stwierdzam tu ducha liberalizmu, który, jak zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, doprowadza do przetwarzania zakładów karnych na raj dla łotrów, a społeczeństwo wydaje na ich łup, deklamując przytem o wyłącznym celu kary poprawczym. Oto liberalna bonté bête bez dogmatu! Niestety, uwiodła ona mnóstwo katolików, nawet publicystów i uczonych katolickich, stających skądinąd śmiało w obronie wiary.

— Ksiądz musi jednak przyznać, że prąd liberalistyczny, jeśli tego sam jeden nie sprawił, to przynajmniej znakomicie się przyczynił do zwycięstwa humanitaryzmu. Osobiście nie wyobrażam sobie, żeby to stać się mogło bez interwencji liberalistycznej.

— Zasługa mimowolna, bo nie humanitaryzm szczery i powszechny był i jest celem liberalizmu. Stworzył on — niedość jeszcze osławioną Deklarację praw człowieka, z której wyrosła Liga obrony praw człowieka, ujmująca się wniebogłosy za zbrodniarzami, osobliwie za żydami i ich pachołami, a radująca się w głębi duszy z prześladowania katolików w Meksyku i Bolszewji. W duchu tej Deklaracji Sowiety stworzyły „bywszych" ludzi w osobie liszeńców. Z takich owoców liberalnego humanitaryzmu okazuje się naocznie to, co przed laty stwierdził Pius IX, zowiąc liberalizm „pestis perniciosissima". Wydaje on nie humanitarystów, lecz humanitardów, godnych istotnie miana *bywszych* ludzi. Jedyny prawdziwy humanitaryzm płynie z ewangelicznego prawa miłości bliźniego, nieznanego poza chrześcijaństwem. Poza niem małpuje się go tylko w zimnym, wyrachowanym altruizmie, czy obłudnym humanitaryźmie. Przytem działa się temi namiastkami w ten sposób, by stwarzać pozory przelicytowania chrześcijaństwa w miłości rodzaju ludzkiego, Oni to, humanitardzi, są jedy-

nymi obrońcami uciśnionych, gdy my, Wyznawcy Chrystusa, jesteśmy zbrodniarze, zwierzęta, skoro nie chcemy dobrowolnie oddać się im na pożarcie, nie tylko z ewangelicznym „płaszczem", ale i z naszą wiarą w Chrystusa i z naszą Ojczyzną. Niechże dadzą nam z życia własnego choć jeden przykład, z niezliczonego ich mnóstwa po naszej stronie, podobny do tego, jaki dali ojcowie jezuici, podjąwszy się pielęgnowania dotkniętego trądem prześladowcy swego, Callesa! Ale! Czy Pan profesor czytał wiersz Iłłakowiczówny „Gościnne dzieci"?

— Nie, nie czytałem. To jednak z jej twórczości, co mi się czytać zdarzało, rekomenduje mi ją jako idealistkę w moim duchu.

— Proszę posłuchać...

— Jaknajchętniej. Tem chętniej, że to moja bliższa rodaczka.

— Opowiem tylko treść. Wiersz jest bożenarodzeniowy. Choinka, dzieci. Zjawia się żydek z rozbitym nosem, zbieg z hitlerowskiej Rzeszy. Dzieci Polskie litują się nad nim, obejmują go i przygarniają do siebie. Z kolei przybywa „niemczyk", również zbieg z własnej ojczyzny. Dzieci przygarniają i jego:

„Polska, nasza wielka ojczyzna,
i do ciebie także się przyzna".

Mamusia patrzy na to z podwórza przez okno i rośnie jej serce, że ma takie dobre dziatki. I widzi w dalszym ciągu, jak w pokoju zjawia się „olbrzymi ktoś, gwiaździsty i biały", bierze ze stołu opłatek i łamie się nim „z niemcem, żydem i dziećmi".

— Gdzie ksiądz wyczytał ten ewangeliczny wierszyk, w którym tak pięknie wypowiedziała się dusza polska?

— Pan profesor chyba żartuje? Wyczytałem go, jako przedruk z „Kurjera Porannego", w „Prostej Drodze", organie potępionej świeżo przez nasz Episkopat organizacji kobiecej.

Zgodnie z oceną pańską, podano go tam również jako „owiany duchem prawdziwie chrześcijańskim".

— I tak jest niewątpliwie!

— Wypadałoby, że i Kurjer Poranny i Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet są owiane duchem prawdziwie chrześcijańskim, gdy ducha tego braknie choćby tylko prasie katolickiej, która niewątpliwie wrzuciłaby ów wierszyk do kosza.

— Możnaby pomyśleć, że gościnność przestała być cnotą, cnotą szczególnie polską. Dzieje Polski obfitują w cudownie piękne przykłady gościnności nawet względem wrogów.

— Możnaby jeszcze wyrozumieć danie chwilowego przytułku ściganym zbiegom politycznym, chociażby i wrogom. Proszę jednak zauważyć, że tu chodzi o coś znacznie więcej. Wiersz głosi ideę przygarniania do łona Polski zbiegów żydowskich z całego świata oraz ich pobratymców—komunistów, bo tym „niemczykiem" panny Iłłakowiczówny mógł być tylko komunista, w lepszym razie socjal-demokrata. Co do żydów, byłby to, niestety, dalszy ciąg starych dziejów naszych, którym zawdzięczamy to, że Polska stała się „paradisus Judaeorum", a, conajmniej, czyśćcem dla swoich synów rodzonych, o ile nie zostali oni z ziemi własnej wyparci przez fale zbiegów żydowskich, razporaz powracające. Mimo to wierszyk gościnnie rozszerza naszą „wielką Ojczyznę" na przyjęcie wygnańców, których ród przykładał ręki do wszystkich naszych klęsk dziejowych, o ile ich na nas nie sprowadzał, i, ciesząc się rajem żydowskim w Polsce, szkalował nas przed światem, jakoby swoich pogromców. Dziś nareszcie opatrzyliśmy się, kiedy niebezpieczeństwo żydowskie urosło już w potworne widmo Judeo-Polonji, które się już materjalizuje, z tendencją do przetworzenia Polski na nową Palestynę. Tymczasem wierszyk przeciwstawia się zdrowej reakcji i stary błąd Polski uświęca zabójczą doktryną liberalistyczną, czyniąc zeń obowiązek i cnotę chrześcijańską. Przepaść głupiej dobroci! Chwalił sobie szalbierczy ochrzta, Frank, głupią i dobrą szlachtę polską; dziś chwaliłby sobie wdwójnasób przegłupią dobroć panny Iłłako-

wiczówny i Związku Pracy ogłupionych Polek, co pozwoliły zedrzeć z siebie szaty wyznaniowe i narodowe i z nieświadomym bezwstydem paradują jako gołe „kobiety".

— Oczywiście, żydzi to żywioł, duchowo nam obcy i niebezpieczny; zawładnął prasą, ma wielkie wpływy na rządy i opinję publiczną, ponosi w znacznej mierze odpowiedzialność za nieszczęścia Polski i jeszcze większe, obecne nieszczęście Rosji. Ale z drugiej strony, tyle mam do czynienia z nędzą żydowską, widzę, jak się z nią borykają, stwierdzam, że tylu wśród nich jest ludzi, wyjątkowo szlachetnych i czystych, że trudno mi w nich widzieć „synów szatana" i braknie mi serca do ich atakowania razem z naszymi nacjonalistami.

— Nieporozumienie, panie profesorze! Nie chodzi o proletarjat żydowski, ani o lepszych wśród nich wyjątkowo ludzi. Chodzi raczej o wodzów żydostwa, na których pasku idzie zresztą proletarjat i przez to samo już jest szkodliwy. Ale nie dokończyłem jeszcze krytyki głupiutkich dzieci panny Iłłakowiczówny. Pozostaje do podkreślenia jeszcze jeden moment. Razem z „niemczykiem" komunistą, czyni ona żyda, niechrzczeńca, uczestnikiem mysterjum chrześcijańskiego, stanowiącego przeżytek pierwotno-chrześcijańskich uczt miłości. Czy panu to nie pachnie świętokradzkiem, wedle słów Chrystusa, „dawaniem chleba synowskiego psom"?

— Niestety, na szkodę mojej rodaczki przyznać to muszę. No, lecz przynajmniej intencja jej była jaknajlepsza.

— Ileż pan profesor znajduje w swem gołębiem sercu wyrozumiałości nawet dla ślepych wodzów ślepych! Aż zazdrość chwyta bojownika katolickiego, otrzymującego cięgi za obronę wiary, i od przeciwników, i od... serc gołębich. Naiwność w poezji jest wdziękiem, ale nie naiwność ideologiczna, która, chcąc pouczyć, ogłupia, i to w sprawie pierwszorzędnie doniosłej. Być aż tak naiwnym, gdy się ma pretensje do przywództwa, to grzech, grzech ciężki, za który się należy moralna chłosta. Jak zaś łatwo przyjmuje się u nas głupstwo, niech poświadczy fakt, że numer Prostej Drogi z owym wierszem

przysłano mi z koła Związku Pracy w nadziei uzyskania dlań pochwały. Wystarczy to na dowód, że Prosta Droga wiedzie wprost do Kulparkowa.

— Ksiądz, doprawdy, wiwisekuje żywego człowieka!

— Wiwisekuję wiwisektorów społeczeństwa, którzy mając pod nosem zwierzoszatańskie Sowiety i odczuwając do nich trwożliwą odrazę,—za przykładem kadetów rosyjskich—robią wszystko, aby tę ohydę sprowadzić na Polskę. I którzy, mając pod nosem aktualne G.P.U.,—gdy chodzi o wyrażenie zgrozy wobec okrucieństwa, wypominają katolicyzmowi średniowieczną Inkwizycję. Jedni celowo, aby, wśród toczącej się już rozgrywki między kościołem a synagogą szatana, straszyć ludzi dosłownym powrotem średniowiecza i nie dopuścić do zwycięstwa Kościoła; inni bezwiednie, poddając się sugestji tamtych.

— Non praevalebunt! Byle więcej wśród nas było miości...

— Non praevalebunt, byle więcej było dobrej miłości i dobrej nienawiści! A, naprzód, więcej uświadomienia, co kochać, a czego nienawidzieć!

X. Charszewski.

Moralna likwidacja Boya.

Czciciel Bachusa i Wenery, likwidator siedmiu grzechów głównych, sławca giejsz jako filaru moralności, obrońca pederastów jako mniejszości płciowej, zawołany pornograf i skatolog, procesujący się (z krak. Czasem) o prawo do języka prostytutek i apaszów w druku, „czystej krwi błazen" wedle własnego samookreślenia, „świnia, pomnożona przez osła" wedle, podrażnionego coprawda, określenia autora „Jednego lekkiego żywota", słowem, twórca boyszewizmu wedle definicji Nowaczyńskiego: oto Boy, oto jego walory moralne.

Jednocześnie Boy to kawaler krzyża Legji hon., zdobywca literackiej nagrody Warszawy, „nieśmiertelnik" państwowej

akademji literatury, wogóle znakomitość, przynajmniej franko-polska. A, także i żydowska, skoro Boy jest półkrwi żydem po kądzieli i skoro jest benjaminkiem prasy żydowskiej z ducha.

Taka chwała za owakie zasługi byłaby chyba zwiastunką haniebnego końca Polski, gdyby była jej dziełem. Szczęściem, jest to dzieło czynników, którym zależy na znieprawieniu społeczeństwa, choćby pod hasłem sanacji. Natomiast Polska narodowa dokonała aktu moralnej likwidacji Boya, jako pisarza, składając tem dowód moralnego zdrowia.

Już przed kilku laty w prasie polskiej wszczęła się reakcja przeciwboyowska, w której wzięły udział nawet celepsze jednostki z obozu lewicowego. Ukoronował ją zaś p. Czesław Lechicki książką p. n. „Prawda o Boyu-Żeleńskim", wydaną w r. p. w Warszawie.

Autor jest szczególnie ostro nastawiony przeciw wszelkim postaciom rozwiązłości w życiu, literaturze i sztuce. Dzięki temu powstało dwutomowe jego dzieło „W walce z demoralizacją", które paroma miesiącami poprzedziło tamto. Naturalnie, Boy, taki matador rozpusty pisarskiej, nie został tam pominięty. Ze względu jednak na jego w tym kierunku wybitność i popularność, należała mu się książka osobna, podobnie, jak groźnej epidemji należy się uwaga szczególna. „Prawda o Boyu" jest więc uzupełnieniem monograficznym książki poprzedniej.

Autor daje nam tu pełny, a wnikliwy, obraz krytyczny całej działalności pisarskiej odbronzowiacza Mickiewicza we wszystkich jej różnorodnych fazach i postaciach literackich. I jego prawda o nim okazuje się prawdą rzeczywistą, gdyż stawia on go w świetle jedynie prawdziwych zasad katolickich. W tem oświetleniu Boy wychodzi moralnym potworem, jakim on jest w rzeczy samej. Wychodzi przytem pomniejszony jako talent pisarski, także i jako tłumacz (przeważnie) pornografji francuskiej. Okazuje się, jak słusznie już przed laty, w Pro Patria, ocenił go Charix:

„Prawda, masz popularność, lecz wiesz, co ją czyni?
Jedziesz nie na rumaku, lecz na Ropsa świni!"

Pan L. wszakże nie poprzestał na swoim szkicu monograficznym. Książka jego jest w $^2/_8$ rodzajem krytycznej antologji o Boyu. Zebrał on w niej bowiem conajcelniejsze o nim głosy literatów i publicystów, w liczbie 22, oświetlającvch go z różnych punktów widzenia i nawet z różnych stanowisk ideologicznych, a mimo to zgodnych w ostatecznym wyroku potępienia.

To zebranie w jeden chór głosów, dotąd rozproszonych, sprawia silne wrażenie i nadaje książce autorytet likwidacyjny w stosunku do Boya.

Pan „Chłopczyk" może sobie jeszcze używać degenerackiej rozkoszy pławienia się w nieczystościach moralnych. W opinji polskiej, nie tylko narodowo-katolickiej, ale i wogóle ludzi uczciwych, jako szerzyciel dżumy obyczajowej, został on zlikwidowany.

Stwierdzając to, nie jemu, lecz prawdzie o nim czynimy reklamę. Chcecie Boya? Oto go macie! Prawdziwego, jakim jest w rzeczywistości rzeczywistej. Veritas delectat. Delektuje także i prawda, wyrąbana gorszycielowi. Temwięcej, gdy rąbanie jest inteligentne i połączone z dowcipem, wyskakującym skrami ze starć krytycznych zasady katolickiej z ideologją podstarzałego „Chłopczyka".

X. Charszewski.

Cele i zadania prasy katolickiej.

Szczególniejszej uwagi przedmiotem ze strony myślących katolików powinno być zagadnienie swojej, katolickiej prasy.

Jakkolwiek doniosłe znaczenie prasy znane jest każdemu wykształconemu i umiejącemu patrzeć i myśleć człowiekowi, za stosowne uważamy przytoczyć kompetentne opinje o prasie, tej potędze świata, potężniejszej dzisiaj od złota.

Już *cesarz Nepoleon* słusznie twierdził: „Cztery wrogie gazety niebezpieczniejsze są od 100.000-cznej armji nieprzyjacielskiej w otwartem polu".

Żyd Disraeli, przezwany lordem Beaconsfield, faktyczny władca Anglji w drugiej połowie XIX wieku, tak się wypowiada: „Opinja publiczna jest obecnie zwierzchnim rozkazodawcą, a przemawia ona przez drukarnię. Czyż nie jest oczywistem — że przedstawicielstwo drogą prasy dokonywa się za naszych dni, uskutecznia się bez porównania pełniej, aniżeli przez parlament?". *)

Żyd Icek Aron Crémieux, założyciel wszechświatowego związku żydowskiego (Alliance Israélite Universelle) w 1865 roku na zjeździe masonów wołał głośno: „Miejcie sobie wszystko za nic, za nic pieniądze, za nic poważanie! prasa jest wszystkiem. Mając prasę — będziemy mieli wszystko!"

Żyd Mosiek Blumenberg, co się zrobił później sir Moses Montefiore, na zjeździe rabinów całego świata w Krakowie w 1848 roku — tak powiedział: „Jak długo gazety świata nie będą w naszych rękach — wszystko na nic się nie przyda. Bądźmy pomni przykazania XI: „Nie będziesz cierpiał nad sobą żadnej obcej prasy, abyś długo panował nad gojami". Zapanujmy nad prasą — a wnet będziemy rządzić i kierować losami całej Furopy!" Dzisiaj jest to już w całej pełni zrealizowane, i to nietylko w Europie.

Posłuchajmy głosów autorytetów z innego obozu:

„Żadna siła, trzeba to przyznać, nie jest zdolną opierać się tak energicznemu czynnikowi rozkładu, jakim jest prasa", powiedział znakomity francuski publicysta katolicki *Edward Drumont.*

Najwyższe dla nas, katolików, autorytety — Wikaryusze Chrystusa — tak się o prasie i jej znaczeniu wyrażali:

Pius IX: „Czasy nasze wymagają znacznie więcej obrońców piórem, niż głosicieli prawdy na ambonie".

---

*) A. Szmakow. Mieżdunarodnoje tajnoje prawitielstwo.

Leon XIII: „Obowiązkiem każdego katolika jest popierać prasę katolicką".

Pius X pobłogosławił pióro dziennikarza i wręczając mu je, wyrzekł te pamiętne słowa: „Nie masz żadnej szlachetniejszej misyj ponad misję dziennikarza. Błogosławię ten symbol twojego powołania. Moi poprzednicy błogosławili miecze i oręże chrześcijańskich rycerzy, ja wolę ubłagać błogosławieństwo dla pióra katolickiego dziennikarza". — Innym razem powiedział znowu Pius X: „Jakoś ludzie nie chcą zrozumieć, jak ważną jest w naszych czasach prasa. Ani duchowieństwo, ani wierni nie zajmują się nią tak, jak tego potrzeba wymaga. Ludzie starzy mówią: to coś nowego; dawniej zbawiono tyle dusz, a nie starano się o żadne gazety.

Ale to łatwo mówić: dawniej! dawniej! Trzeba przecież zauważyć, że dawniej trucizna złych gazet i pism nie była tak powszechną, jak dziś, więc też nie było potrzeby jakiegoś środka przeciw tej truciźnie, jak dziś. Środkiem tym jest właśnie dobra prasa. Teraz to nie „dawniej", ale „dziś".

To przecież jest faktem dokonanym, że dziś lud chrześcijański bałamuci się, truje i niszczy przez bezbożne gazety... napróżno będziecie budować kościoły, odprawiać misje, zakładać szkoły, wykonywać dobre uczynki wszelkiego rodzaju — wszystkie wasze zabiegi będą daremne, jeżeli nie będziecie umieli używać broni odpornej i zaczepnej, jaką jest katolicka, szczera i rzetelna prasa". *)

Powyższe zestawienie opinji zwalnia nas od konieczności szerokiego rozwodzenia się o całej doniosłości znaczenia prasy wogóle, a prasy katolickiej w szczególności. Należy pamiętać, że tak zwana prasa informacyjna dzisiaj nie odzwierciedla opinji społeczeństwa, czy poszczególnych jego odłamów, ale tę opinję tworzy, suggerując ten czy inny pogląd, lub kierunek myślenia; inaczej mówiąc, prasa dzisiaj nie służy społeczeństwu, ale nad niem panuje. Stąd prosty i logiczny wniosek: kto chce daną ideę propagować — to musi posiadać w tym

*) X. J. Mazurek. Kazania o prasie katolickiej.

celu własną trybunę prasową; słowo żywe nie wszędzie i nie zawsze dociera, jest więc tem samem niewystarczającem. Zatem dla szerzenia katolickich zasad, poglądów, kierunku myślenia — potrzebną jest prasa katolicka, ściślej mówiąc, dzienniki katolickie, które posiadają nad peryodykami tę przewagę, że omawiają sprawy aktualne, bieżące, na dobie — zaraz, na gorąco, choć — coprawda — dzienniki nie żyją dłużej nad jeden dzień.

Jeżeli prasa partyjno-polityczna czy fachowa posiada swoje charakterystyczne piętno, swe cechy, swą fizjognomję, po której inteligentny bądź uświadomiony czytelnik łatwo ją może rozpoznać — podobnież i prasowy organ katolicki musi posiadać swą wyraźną fizjognomję, swój charakter i piętno, aby godnym być tej zaszczytnej nazwy pisma katolickiego.

Chociaż przymiotnik „katolicki" często jest u nas używany, odmieniany we wszystkich przypadkach — to jednak można powiedzieć, że nierównie częściej jest on *nadużywany*, bowiem charakteryzowany lub określany nim dany organ prasowy ze względu właśnie na swą treść i charakter — na tę zaszczytną nazwę albo wcale nie zasługuje, albo też tylko częściowo jest jej wart.

Aby dany organ prasowy mógł słusznie pretendować do nazwy katolickiego—to musi on ściśle odpowiadać swemu zadaniu, którem jest: *badanie i wskazywanie praktycznych dróg urzeczywistnienia nakazów Chrystusowych, nakazów Kościoła Katolickiego.* Innego zadania i celu prasa katolicka nie ma i mieć nie może. Praktycznie zadanie to należy sformułować następująco: katolicki organ prasowy musi omawiać to, co się dzieje; fakty i zdarzenia po katolicku komentować, tudzież wskazywać, jakby być powinno z punktu widzenia niezmiennych, najdoskonalszych zasad Chrystusowych.

Z tego wynikają bardzo ważne obowiązki: *informowania i nauczania* społeczeństwa.

Informacja społeczeństwa polega na powiadamianiu go o wypadkach dokonanych, dokonywujących się, lub dokonać

się mających, aby społeczeństwo mogło dobrze orjentować się, w jaki sposób zachowywać się należy, celem zabezpieczenia swych interesów najżywotniejszych *). Będąc źródłem informacji—prasa katolicka jest pośrednikiem między interesem publicznym a społeczeństwem, jest organem kontroli społecznej, na podobieństwo organów zmysłowych i ośrodków nerwowych osobnika fizycznego *). Kaleką jest człowiek niewidomy, głuchoniemy, dotknięty częściowym paraliżem mózgu — podobnie, a nawet więcej jeszcze upośledzone byłoby społeczeństwo pozbawione prasy. Powódź, epidemja, wywoływanie zamętu rewolucyjnego, niedomagania płynące z wadliwości ustaw lub z ich niewłaściwego stosowania przez nadużycie władz, niebezpieczeństwa komplikacyj międzynarodowych — oto zdarzenia typowe, zagrażające społeczeństwu nieraz lawiną klęsk. Zdarzenia takie, podane zawczasu do wiadomości publicznej, przewidziane i omówione na łamach prasy, umożliwiają przeciwdziałanie, samopomoc, samoobronę, pozwalają usunąć katastrofę, a przynajmniej ograniczyć jej rozmiary do minimum. Prasa katolicka jest czynnikiem mobilizującym opinję publiczną.

Dzisiaj wobec tak rozwiniętych i różnorodnych środków komunikacyjnych wiadomości natury publicznej rozchodzą się i bez pomocy prasy, która nie jest dzisiaj jedynem źródłem informacji—ale bez niej wszakże grupy społeczne byłyby niemal całkowicie pozbawione stałej i pewnej informacji; zaś brak stałych i pewnych wiadomości sprzyja powstaniu i szerzeniu się najdzikszych pogłosek, rodzi panikę, umożliwia zamęt, stwarza idealne warunki do łowienia ryb w mętnej wodzie.

Zresztą gdyby nawet większość wiadomości docierała do społeczeństwa w formie np. obwieszczeń urzędowych—nie mogłaby nigdy zastąpić prasy. Dopiero przez zestawienie jednej wiadomości z innemi wiadomościami, przez sprawdzenie źródeł informacyj, przez dociekanie celu ich rozgłaszania, i ich istotnego—ukrytego nieraz sensu, przez komentowanie i oświetlanie wiadomości—czytelnik otrzymuje zamiast surowego ma-

*) „Przełom” № 8-9 z 1925 r.

terjału luźnych zdarzeń, obrobioną, powiązaną całość, składającą się na wiarogodną kronikę chwili bieżącej.

Takiem jest zadanie prasy katolickiej informacyjnej; prasa ta musi społeczeństwu wyjawiać prawdę, tylko prawdę i całą prawdę—to jest faktyczny stan rzeczy odpowiednio skomentowany i oświetlony;—jeżeli tego prasa katolicka nie będzie czynić i tak postępować—to będzie kłamać świadomie, bądź też, bezkrytycznie podając wiadomości rozmaitych agencyj prasowych,—będzie cudze kłamstwa powtarzać i szerzyć — legitymując się zarazem nieuctwem i tępotą swych „sił" redakcyjnych.

Wtedy jednak dany katolicki organ prasowy przestaje być faktycznie godnym miana katolickiego, bo katolickiej sprawie raczej zaszkodzi, aniżeli jej się przysłuży. Doba dzisiejsza szczególnie domaga się tej prawdy i niezważania na względy ludzkie; co jak co, ale prasa katolicka—ściślej mówiąc, jej redaktorzy zawsze i przedewszystkiem powinni stawiać sobie pytanie: co Bóg na to powie? a nie, co ludzie powiedzą.

Katolickiemu pismu nie wolno kierować się obawą narażenia się komukolwiek, kiedy chodzi o powiedzenie prawdy. Faryzaizmem jest zastawiać się interesem Kościoła — kiedy w istocie chodzi o własną skórę, albo, co gorsza, o przyjazne poklepanie przez przeciwnika.

Stąd wynika obowiązek *konsekwencji* pisma katolickiego, czyli zgody teorji z praktyką; dziennik czy jakikolwiek organ prasowy mieniący się być katolickim—winien przedewszystkiem okazywać należny szacunek Najwyższemu Pasterzowi, Episkopatowi, Świętym Kongregacjom i wogóle klerowi, następnie winien bronić wiary, autorytetu Kościoła i jego Hierarchji. Konsekwencja pisma katolickiego wyraża się ponadto w jego prostolinijności i nieuznawaniu żadnych kompromisów. Nie wolno jest przeto podnosić jednostronnie zalet wrogów Kościoła, niedowiarków, pogan; nie wolno w niem pisać w ciepłych słowach o dziełach czy autorach lub sztukach gorszących; nie wolno dla względów ludzkich zamieszczać artykułów równie

dobrze nadających się do pierwszego lepszego pisma akatolickiego lub sekciarskiego. Katolicyzm posiada własność pionu— nie znosi odchylenia!—podobnież i pismu katolickiemu nie wolno odchylać się i zbaczać z raz obranej drogi i wytyczonej linji. Niestety — zdarza się prasie katolickiej, jak się zdarzało grzeszyć kompromisowością: Zjawisko to przybrało tak poważne rozmiary, że Episkopat lombardzki w swym liście zbiorowym z 1911 roku uskarża się na ten naganny zwyczaj, uprawiany nawet i przez dzienniki katolickie: „Musimy zaznaczyć pewną smutną okoliczność. Jeżeli dawniej dobre dusze, by módz zdrowo sądzić o wielu produkcjach niebezpiecznych, znajdowały obronę i kierunek w codziennej prasie katolickiej, to dziś, przeciwnie, między przedstawicielami tej prasy nie brak ludzi, co wyobrażają sobie, że czynią dobrze, głosząc w druku nowe pojęcia i publikując nowe prace, nie zaopatrzywszy ich w odpowiednią krytykę, nawet wówczas, gdy istnieją racje, by je napiętnować lub conajmniej, by przed niemi ostrzedz czytelnika. Nie chcemy sądzić intencji tych pisarzy; mogą one być dobre. Nie odmawiamy im pochwały za dobro, które czynią przez przeważną część swych dzieł. Zdarza się jednak, że wiele osób, które się przyzwyczaiły, i nie bez racji, polegać na prasie katolickiej i brać ją za przewodnika swych sądów, że wiele osób ma przez to uśpioną czujność tam, gdzie niebezpieczeństwo im grozi, a nawet że osoby te biorą za dobro to, co nie jest do zalecenia, lub co jest zgoła złe."

Niechaj nikt nie próbuje wystawiać potrzeby i autorytetu wiedzy, bo „niema ani prawdy tak głębokiej, ani wiedzy tak cennej, by ich nabycie wynagrodzić mogło utratę obyczajów, a tembardziej wiary. Wynika stąd, że dobrze jest pomijać milczeniem pewne dzieła, które wiarę i moralność na szwank wystawiają. A gdy już chcemy mówić o nich, należy piętnować ich bezeceństwa z taką siłą w określeniach i z taką powagą solidnych racyj, by każda uczciwa dusza odczuła wstręt do czerpania z tak mętnego źródła" (Taparelli „Civilta Cattolica" serja 3 tom I str. 203).

Jeżeli tedy dane pismo pozwala sobie na ugodowość, układność i kompromisy—to zdradza sprawę Kościoła — a nie służy jej—tudzież słusznie naraża się na zarzut dwulicowości i faryzeizmu. Przed takiemi pismami—niby katolickiemi ostrzegał Ojciec św. Pius X w swem przemówieniu do duchowieństwa i pielgrzymów Wenecji na audjencji w Watykanie dnia 16 września 1908 roku, między innemi mówiąc: „Strzeżcie się pewnych dzienników i pewnych czasopism, jakkolwiek zalecanych".

Zasada konsekwencji dziennika katolickiego zobowiązuje w następstwie do selekcji faktów mających być społeczeństwu podanemi do wiadomości, mianowicie: dziennik katolicki ma podawać do wiadomości publicznej to, co społeczeństwo obchodzić powinno, co może mu przysporzyć korzyści zarówno moralnych, jak materjalnych, co społeczeństwo oświeca, kształci, co mu otwiera oczy, słowem, co je prawdziwie informuje; dalej—nie wolno jest dziennikowi katolickiemu przemilczać tego rodzaju wiadomości obchodzących społeczeństwo lub stronniczo je komentować, bo zamiast być organem prawdy — dziennik ów stanie się kuźnią kłamstw i plotek, będzie w błąd tylko wprowadzał społeczeństwo, wzorem tak zwanej dzisiejszej prasy informacyjnej całego świata, polskiej, oczywiście, nie wyjąwszy, a wtedy nie uratują sytuacji żadne pochwały na cześć Papieża, czy Kongresów Eucharystycznych; co więcej—tem szkodliwszy będzie wpływ takiego dziennika, bo łatwowierni czytelnicy przyciągnięci sporadycznemi notatkami z życia religijnego — wraz z niemi połkną sporą dozę fałszu lub głupawych nic nie mówiących ogólników.

Z drugiej strony dziennik katolicki musi być bezwględnie wolnym od śmiecia dziennikarskiego, to jest od brukowych wiadomości, zgoła nikogo poważnego nie obchodzących, nie mogą więc w nim być szpalty zapełnione głupiemi i bezwartościowemi sensacjami, rozmazywaniem procesów kryminalnych, lubieżnem pławieniem się w brudnych skandalicznych wydarzeniach. Czytelnik, który „leci" na nie—nie weźmie do ręki

dziennika katolickiego, który podaje tylko wybór wypadków, a bez pikantnej zaprawy. Rywalizacja na tem polu z brukowcami daremna! Szkoda też na to łamów katolickich, bo taki materjał—to są Pawłowe „stercora" (gnój) wobec wielkiej sprawy katolickiej.

Dziennikowi katolickiemu nie wolno jest reklamować niemoralnych filmów lub utworów scenicznych. Przeciwnie winien on je piętnować i przed niemi ostrzegać, popierać natomiast uczciwe, a specjalnie reklamować religijne, o ile wytrzymują krytykę katolicką, no i, oczywiście, artystyczną.

Jeżeli zatem doniosłą i trudną jest rola działu informacyjnego dziennika katolickiego — niemniej doniosłą i trudną, jak odpowiedzialną jest rola jego działu nauczającego. Zadaniem artykułów składających się na dział nauczający jest wpajanie czytelnikom tych i takich poglądów, jakie czytelnik mieć powinien, wskazywanie tych konkretnych ideałów, które podaje religja i patrjotyzm, słowem — w całem znaczeniu tego wyrazu—urabianie, kształcenie czytelnika.

Nie znaczy to, aby dział nauczający miał być wyłącznie o charakterze teologiczno-dogmatycznym, inaczej mówiąc, nie jest rolą dziennika, czy czasopisma katolicko-społecznego wykładać prawdy wiary, objaśniać jej artykuły, dowodzić rzeczy, które czytelnikowi katolickiemu powinny być znane skądinąd, np. udawadnianie istnienia Pana Boga, Jego sprawiedliwości i t. p. to nie jest zadaniem dziennika katolickiego — od tego są książki, które w bibljotece katolika powinny się znajdować. Dział nauczający powinien mieć charakter dydaktyczno-społeczny, uczyć czytelnika, jaki ma on mieć pogląd i sąd o danych faktach, o ludziach i rzeczach i to w każdej materji zarówno politycznej, jak ekonomicznej, moralnej, materjalnej, socjologicznej; do tego działu należy podawanie do wiadomości i objaśnianie kompetentne najnowszych wskazówek Kościoła, to jest rozporządzeń i nakazów Hierarchji Duchownej.

Jest rzeczą jasną, że dział nauczający musi stać na podstawowym gruncie punktów, których obalenie pociągnęłoby

ruinę całego gmachu katolicyzmu; temi podstawowemi punktami są: istnienie Boga, Opatrzność, stworzenie świata, duchowość i nieśmiertelność duszy ludzkiej, Bóstwo Chrystusa Pana, boskie założenie Kościoła Katolickiego, prymat papiestwa.

Na wojnie wojska robią specjalne wysiłki, aby bronić tak zwanych pozycyj strategicznych, to jest tych, które, gdyby wpadły w moc wroga, uczyniłyby go poniekąd panem placu boju, bo ich utrata pociągnęłaby utratę innych. Z tej samej racji zależy w najwyższym stopniu, by dziennikarstwo katolickie nie przepuściło żadnej sposobności do pobicia z całą mocą systemów, sprzeciwiającym się prawdom dopiero co przytoczonym. Systemami takimi są np. materjalizm, ewolucja, zaprzeczająca dogmatowi stworzenia, racjonalizm, zaprzeczający wszystkiemu, co nadprzyrodzone, indyferentyzm, teozofja, wybujała żądza wolności, socjalizm, demokratyzm. W wojnie z wrogami dział nauczający dziennika katolickiego będzie musiał bronić w szczególności tych punktów doktryny katolickiej, które dziś są najbardziej zaczepiane czy zwalczane.

Wskazują zaś te zagrożone punkty Pasterze Kościoła i Najwyższy Pasterz z podziwienia godną troskliwością. Nie możemy więc nie znać tych podstawowych orzeczeń zawartych w listach pasterskich XX. Biskupów oraz w Encyklikach Papieskich, jeśli tylko naprawdę poznać je chcemy. To wszystko, co dział nauczający podaje, powinno być sformułowane jasno i wyraźnie — niema i nie powinno być tam miejsca na trucizny, ogólniki, mętne i wodniste ujmowanie sprawy—czyli na jałową frazeologję, bo ta myślącego czytelnika łatwo zniechęci; banialuków on czytać nie zechce zaś bezmyślny czytelnik takim samym pozostanie, lub nawet gorszym intelektualnie się zrobi, bowiem będzie rzucał frazesy, ale skoro trzeba będzie coś skonkretyzować okaże się bezradny, lub się oburzy, twierdząc, że „to przecież każdy wie" — zatem organ prasowy katolicki, jeżeli będzie operował próżną frazeologją— nie spełni swej roli nauczycielskiej.

Dział nauczający musi być traktowany kompetentnie —

wszak oczywistem jest, że jeżeli redakcja chce zamieszczać w dzienniku artykuły z dziedziny nauki, sztuk, medycyny — nie będzie prosiła o współzawodnictwo pierwszego lepszego z brzegu, lecz ludzi kompetentnych, jeśli podobna, specjalistów — nie może być inaczej w kwestji religji, owszem, tu właśnie należy jeszcze ściślej stosować się do tego, ponieważ błędy popełnione w tej dziedzinie są daleko fatalniejsze w skutkach, jak stwierdza Ojciec św. Pius X w swej Encyklice. „Pascendi": Jasność i niedwuznaczność obowiązuje również i tych specjalistów — ludzi kompetentnych, zwłaszcza w zakresie religijnym, bowiem niejasne i dwuznaczne zdania czy wyrażenia, które wbrew intencjom autora nadają się do nieprawowiernej interpretacji, stanowią istotne niebezpieczeństwo w dziedzinie nas obchodzącej. Należy widzieć w nich jedno z najbardziej nagannych i najszkodliwszych wykroczeń, jakich judasz religijny dopuścić się może. „Cum haereticis nec nomina debemus habere communia, ne eorum errori favere videamur" (z heretykami nie powinniśmy mieć nawet nazw wspólnych, abyśmy się nie zdawali sprzyjać ich błędom) (S. Thom p. 3-a q. 16 a. 18 — in corp). A to dlatego, że chociaż zdania te czy wyrażenia nie są, ściśle biorąc, pojęciami heretyckiemi, to jednak sprowadzają to samo zło, co i pojęcia heretyckie, a często nawet większe, bo zaszczepiają jad herezji pod pokrywką prawowierności.

Gdyby zdania te czy wyrażenia były jawnie przeciwne naszej świętej wierze, odstraszyłyby wiele umysłów, byłyby wcześnie poznane i potępione. Natomiast ukryte pod maską niejasności i dwuznaczności, wsiąkają łatwo do dusz, wnosząc w nie zamęt i chaos, który usposabia do najszkodliwszych błędów*). Stąd to najsprytniejsi i najniebezpieczniejsi heretycy, chcąc z powodzeniem szerzyć swoje błędy, zawsze się wystrzegali formułować je w opinje jawnie heretyckie, lecz używali zwykle zdań dwuznacznych i niejasnych, by w razie opozycji móc we właściwej chwili wycofać się lub uniewinnić pod po-

*) O. J. Chiaudano T. J. „Dziennikarstwo katolickie".

zorem, że słowom ich będzie nadane znaczenie. Tego rodzaju proceder nie jest nowy, Dlatego też o pisarzach, którzy pomimo że są teologami i ludźmi wykształconymi, lubują się stale w używaniu zdań i wyrażeń dwuznacznych, nadających się do interpretacji heretyckiej, mówimy, że tacy pisarze są zdrajcami, usiłującymi truć dusze za pomocą błędów przeciw wierze szerzonych w nieznaczny, podstępny sposób, co zaznaczał episkopat prowincji wercelskiej i tuszyńskiej w liście okólnym do duchowieństwa w roku 1909-tym.

Gdyby lekarz wezwany do chorego używał w swych receptach nieścisłych określeń dla oznaczenia zarówno trucizn jak i lekarstw potrzebnych do leczenia, to byśmy go nie usprawiedliwili. Powiedzielibyśmy, że jest mordercą i mielibyśmy słuszność, gdyż popełnianie tego rodzaju nieścisłości w sprawie tak poważnej i delikatnej nie może być wymówione w człowieku, który winien znać dobrze swój zawód. To samo powiedzieć mamy prawo o pisarzu, zwłaszcza o księdzu lub o kaznodziei, jeżeli w pismach i mowach swoich nie wystrzega się dwuznacznego stylu, mogącego wpoić masom błędne poglądy w kwestjach wiary i wywołać zgorszenie, którego skutkom dopiero odwołanie błędów zaradzić może. Kardynał de Lugo powiada, że tego rodzaju wysławianie się słusznie podpada pod cenzury inkwizytorów wiary, jako bardzo szkodliwe dla religji (de virtute fidei divinae, disp. 20 n. 134).

Wreszcie zadanie działu nauczającego nie powinno ograniczać się do wskazywania błędów i braków życia społeczeństwa, ich piętnowania, lub badania; tego rodzaju postępowanie będzie tylko ględzeniem i zrzędzeniem i bynajmniej złego nie naprawi, luk nie zapełni. Negatywną krytykę zawsze należy łączyć z krytyką pozytywną—t. j. ze wskazywaniem środków zaradczych, ze wskazówkami co i jak należy czynić. Pożądanemi nawet byłyby tu ankiety i rzeczowe dyskusje, wnoszące ten pozytywny czynnik do katolickiej publicystyki. Jakkolwiek to jest trudnem i żmudnem, ale to właśnie jest jednem

z najważniejszvch zadań, a nawet najważniejszem—całej prasy katolickiej.

Następną cechą prasy katolickiej musi być jej niezależność i to absolutna od wpływów jakiegokolwiek stronnictwa politycznego, a zwłaszcza liberalnego, choćby ono nawet opowiadało się, jako służące interesom katolicyzmu, jak np. nasze stronnictwa postępowe, lub osobliwie niebezpieczna dla społeczeństwa katolickiego — mafja, znana pod nazwą „majowej sanacji" — będąca w gruncie rzeczy awangardą bolszewizmu; o partji „bezpartyjnej" — już i zbędnem jest wspominać, jako dążącej do wprzęgnięcia w swą służbę duchowieństwa i prasy.

Prasowy organ katolicki, mając za sobą prawdę — musi tylko prawdę pisać i nie wolno mu podlegać dyscyplinie partyjnej. Praktyka uczy, że z chwilą, kiedy dany organ prasowy katolicki raz choćby częściowo ulegnie wpływom partji politycznej — czyli przedsiębiorstwu partyjnemu — to później ani się spostrzeże, jak dalece zostanie przez partję opanowany, i stopniowo ulegając coraz więcej hersztom partyjnym — przestanie być organem myśli katolickiej, zrobi się organem stronnictwa, przestanie służyć przedewszystkiem Bogu i Kościołowi, a będzie służył bożkom i autorytetom partji. W sądach i komentowaniu faktów stanie się stronniczym — dla partji będzie miał same pochwały i reklamę — zaś gaffy tej partji nie wytknie, ani partji nie napomni, skoro ta na to zasłuży — krótko mówiąc — organ prasowy katolicki utraci swą niezależność, nierzadko nawet i treść katolicką.

Prasę katolicką powinna cechować życiowość, polegająca na rozumieniu i odczuwaniu faktycznych a nie urojonych potrzeb społeczeństwa, wskazywaniu dróg i środków zaradzania tym potrzebom. Ponadto organ prasowy katolicki musi podtrzymywać styczność z czytelnikami, pomnąc na to, że nie czytelnicy istnieją dla niego, ale on właśnie istnieje dla czytelników; stąd konieczność bacznego przysłuchiwania się głosom

czytelników, zwłaszcza inteligentnych i wyrobionych, o czem można wszak sądzić z listów czytelników, bądź bezpośrednich z nimi rozmów; nadsyłana korespondencja czytelników winna być uważnie studjowana, czytelnikom powinno być ułatwione widywanie się z redaktorem, bądź z kompetentnym jego zastępcą; stała nieobecność redaktora lub jego „brak czasu" na rozmowę z czytelnikami—tych ostatnich bardzo zraża i zniechęca. Pismo katolickie nie istnieje samo dla siebie, przeto nie powinna jego redakcja pogardliwem milczeniem zbywać słusznych zapytań czytelników, lub lekceważąco ich traktować, dając do zrozumienia, że „my, t. j. redakcja, lepiej wiemy". Rzecz oczywista, jeżeli ktoś głupi przyjdzie redakcji czas zabierać głupstwami — to głupie listy rzucać trzeba do kosza — a jeżeli taki okaz ludzki stawi się osobiście, to należy mu w delikatny sposób dać do zrozumienia, że jest głupi i pozbyć go się.

Pismo katolickie winno być budujące, przez to samo więc cechować je musi męstwo. To ostatnie powinno wyrażać się w gorliwości wielkiej i wspaniałomyślnej dla sprawy religji. Gorliwość ta musi być jednak umiarkowana przez miłość i powściągliwość, bez czego byłaby gorliwością niewczesną i nierozważną; nie byłaby cnotą, bo nie można powiedzieć, by cnotą było to, w czem brak roztropności*). Taka gorliwość zamiast pożytku — przyniosłaby szkodę.

Należy jednak podkreślić, że owa nieumiarkowana gorliwość w naszem dziennikarstwie katolickiem jest wadą występującą nader rzadko. Ludzie dziś nie tyle grzeszą zbytkiem gorliwości, ile przez to, że są słabi, letni, małoduszni. Dusze posiadające moc charakteru stają się coraz większą rzadkością. Większość jest miękkich, pozbawionych energji, zniewieściałych.

Fałszywe umiarkowanie stanowi samo przez się bardzo wielkie niebezpieczeństwo, jeżeli zaś ono ma stanowić koncesję czy przynętę dla inaczej myślących, niż katolicy integral-

*) O. J. Chiaudano T. J. „Dziennikarstwo katolickie".

ni—to prędzej czy później zostanie potępione przez Stolicę Apostolską, jak n.p. podobny los spotkał amerykanizm.

W obronie prawd katolickich umiarkowanym być nie można, bo wrogów Kościoła pobudza to tylko do zuchwalstwa, lub do dalszego prowadzenia ich przeciwkatolickiego dzieła maskowanego pozornie dobremi, nawet wzniosłemi względami. Takich wilków w owczych skórach należy za radą św. Franciszka Salezego dyskredytować i demaskować, ile tylko podobna; jest to bowiem miłość wołać na ratunek przeciwko wilkowi, gdy ten wilk jest wśród owiec, a nawet gdziekolwiek jest**). Nie wolno oszczędzać tak zwanego autorytetu gorszycieli, złodziei lub oszustów — dla tego, że ci ostatni uchodzą za genjalnych pisarzy, działaczy społecznych czy politycznych. Jeżeliby kto zarzucił pismu katolickiemu gwałtowność języka, czy ostry ton — to te ostatnie są wyrazem energji i słusznego oburzenia. Zarzuca się gwałtowność języka gorliwym obrońcom Kościoła jedynie dla tego, że nie umieją ukryć swego oburzenia przeciwko tym wyrodnym synom Kościoła, co się nie wstydzą postponować swej Matki i obrzucać jej błotem***).

Pismo katolickie jest to swojego rodzaju ambona, czy kaznodzieja, musi ono wywołać pewne wrażenie, pewien nastrój u czytelnika.

Z tej więc racji powinno być wytrzymane w tonie bojowym, to jest mówić z ogniem, z temperamentem, żarliwie, a w potrzebie nawet z gwałtownością, z jaką Chrystus wypędzał handlarzy ze świątyni, a Mojżesz grzmotnął swoje synaickie tablice, wreszcie z ironją, z jaką Eljasz przemówił do kapłanów baalowych na górze Karmelu, a jaką celował u nas ś. p. Jan Jeleński, X. Bp. Niedziałkowski, a dziś celuje X. kan. Charszewski. Ma to i ten dobry skutek, że ożywia styl i czyni dziennik czy pismo interesującem.

W rozmowach prywatnych można jeszcze zło pokrywać,

**) „Filotea" cz. II rozdz. 29.
***) O. Chiaudano T. J. „Dwa typy dziennikarstwa katolickiego".

okazywać współczucie, przemilczać, lecz publicznie tego robić nie można. Gdyby pisma przemawiały do jednostek, często sama natura charakterów i okoliczności mogłyby doradzać pobłażliwość; ponieważ jednak pisma są trybunami publicznemi, mówią do społeczeństwa, w którem charaktery są najrozmaitsze i ponieważ w zwalczaniu błędów chodzi im bardziej jeszcze o ocalenie słabych, by nie dali się uwieść błędom, niż o nawrócenie tych, co błąd głoszą—więc źleby robiły, nie używając energji z obawy, by się nie podobać tym drugim, gdy mogą się spodziewać, że energja ta może przynieść pożytek pierwszym. Prócz tego wielka to prawda, że miłość cierpliwa jest, łaskawa jest, lecz ta sama miłość wymaga niekiedy użycia surowości, jak to robi ojciec, gdy ma obowiązek ukarać syna. Kto folguje rózdze, nienawidzi syna swego.

Te są tytuły do gwałtowności języka, do bojowego tonu pisma katolickiego, do jego męstwa. Boga i prawdę mając za sobą — pismo katolickie nie powinno się kogokolwiek czy czegokolwiek obawiać.

Świadome swej misji społeczno - wychowawczej, pismo katolickie musi mieć—jak już zaznaczyliśmy—rzeczywiste potrzeby społeczeństwa na oku; równolegle z tem powinno ono wskazywać niebezpieczeństwa zagrażające Kościołowi, wślad zatem i narodowi ze strony żydo-masonerji, oraz nieustannie demaskować i zwalczać zbrodnicze zakusy Kahału i loży. Dziennik czy perjodyk mianujący się katolickim, a przemilczający lub choćby tylko bagatelizujący te niebezpieczeństwa i zakusy, jest oszustem w masce katolickiej, jako taki zaś jest szkodliwszy od polującego na sensację brukowca. Kwestja żydostwa i masonerji—ściślej mówiąc—stosunek danego pisma katolickiego do żydów i masonów jest kamieniem próbnym katolickości danego pisma, jest tym czynnikiem, na podstawie którego można i trzeba wyrabiać sąd o społecznej wartości tego pisma.

Kończymy charakterystykę pisma katolickiego: ma ono być katolickie integralnie—wszerz, wzdłuż, wgłąb i nawskroś.

Uznając potrzeby także i świeckie i im również służąc, ma być antytezą ducha tego świata. Integralizm wyłącza wszelką jego domieszkę, wszelkie oportunistyczne upodabnianie się do niego. Wtedy dopiero może ono liczyć na przyjęcie i poparcie i to entuzjastyczne, przez wszystkich szczerych i rzetelnych katolików z duchowieństwem na czele. Byle zaś stanęło na wysokim poziomie umysłowym i pisarskim, zainteresuje także i przeciwników, do liczenia się z sobą zmusi.

Wskazaliśmy w powyższem, jaka powinna być prasa, aby zasługiwała na miano katolickiej. Niechaj sobie nikt nie wyobraża, że tym wymaganiom sprostać jest dla prasy katolickiej niemożliwe, że w rzeczywistości, ani takiej prasy nie było, ani niema.

Że niema — to prawda, ale taka prasa była w Polsce i to zarówno przed wojną światową — jak po wojnie.

W Warszawie od roku 1883 do 1912 — wychodził znany tygodnik „Rola", w Częstochowie od r. 1908 do 1914 wychodził tygodnik „Myśl Katolicka". — Kto ciekaw, niechaj się zapozna z rocznikami tych doskonale redagowanych pism, niechaj się przekona, jak każdy numer był przemyślany, jakiem bogactwem treści się odznaczał, jakie talenty tam zabierały głos: X. Bp. Niedziałkowski, X. Charszewski, X. Kan. Majewski, X. Gnatowski, Jan Jeleński, Szczepan Jeleński, A. W. Skrzynecki; utwory wartościowych pisarzy naszych i obcych były drukowane w takiej „Roli", ciekawe studja społeczno-historyczne w „Myśli Katolickiej".

Dzienników katolickich w Polsce przed wojną było tylko dwa: „Polak Katolik" — wychodzący początkowo w Lublinie— później w Warszawie, oraz „Dziennik Powszechny" w Warszawie — obydwa dzienniki zresztą całkiem nieźle redagowane. W Polsce już niepodległej dobrych pism katolickich było nie wiele: „Przegląd Judaistyczny", oraz jego dalszy ciąg „Przełom"—wydawane w Poznaniu, a w Warszawie „Pro Patria"— niestety, pisma te nader krótki miały żywot: barbarzyńskie

i dzikie nasze społeczeństwo chętniej pochłaniało brednie z kurjerków i gazetek.

Przyjrzyjmy się nieco tej umysłowej nędzy wyjątkowej, szumnie zwanej prasą katolicką — a przekonamy się, że charakteryzują ją tępota, nieuctwo, prostactwo oraz obrzydliwy oportunizm — to jest wady będące integralnem „in summo gradu" zaprzeczeniem zalet, któremi powinna się odznaczać poważna prasa katolicka.

Istniejąca prasa, pretendująca do miana katolickiej, zanudza na śmierć czytelników jakiemiś abstrakcjami, albo tematami zgoła nikogo nie obchodzącymi; ciekawych i pouczających informacyj brak, kształcić — prasa ta nikogo nie kształci, nie umie dokładnie i wyraźnie powiedzieć, czego właściwie chce.

Szyld jej jest niby integralnie katolicki — katolickość ducha i treści niejednokrotnie można poważnie zakwestjonować.

Jeżeli to był dziennik mianujący się katolickim—to niewiadomo czem się właściwie różnił od gazety laickiej. Znaleźć można było te same telegramy i komunikaty, co i w każdym innym brukowcu lub t. zw. wielkiej prasie informacyjnej takiej np. treści: „Briand odbył godzinną konferencje ze Stresemanem" albo „Eric Drumond naradzał się z Mac Donaldem" — o czem? w jakiej sprawie — nie wiadomo — czytelnik po przeczytaniu takiej wiadomości tak samo nic nie wie, jak gdyby wogóle jej nie czytał. Obca prasa informacyjna coprawda też się nie różni wielce od naszej. W roku 1920 jeden z dzienników paryskich podał szczegół niepozbawiony pewnej pikanterji, sygnalizując krótko i węzłowato: „Briand wziął ciepłą kąpiel przed konferencją z Lloydem Georg'em". — Jak widzimy — fakt ważny, ciekawy i pouczający.

Nasza prasa katolicka nie głowi się nad wskazywaniem czytelnikom środków zaradczych na to, co piętnuje, jako zło — radzi sobie krótko, kończąc artykuły nauczające i informacyjne stereotypowemi wyrażeniami w rodzaju: „czuwajmy nad

tem aby...", „bądźmy czujni!" „sapienti sat", „wielki czas, abyśmy już...", „najwyższy czas, aby..." i tak dalej w tym rodzaju.

Przyczyn faktów, przyczynowego związku między faktami prasa ta nie zadaje sobie najmniejszego trudu badać — ogranicza się zrzędzeniem i ględzeniem, mniemając, że tem się wielce Bogu, Kościołowi i Ojczyźnie zasłużyła.

O żydach i masonerji, o tem co nam i Kościołowi z ich strony grozi — prasa katolicka polska *zachowuje grobowe* milczenie — jakby żydów ani masonów jeżeli nie na świecie — to przynajmniej w Polsce nie było.

Nasza prasa katolicka mogłaby być dobrą — jak nią była kiedyś — a jest obecnie miernej wartości.

Przyczyna tego kryje się w ludziach tą prasą kierujących, bo przecież prasa ta nie bierze się z powietrza ani spada z nieba czy księżyca — ale jest tworem ludzkim, jacy zaś twórcy, takie też i dzieło.

Jako ogólne prawidło, można stwierdzić, że na odpowiedzialne placówki wpływania na umysły i serca społeczeństwa drogą prasy są u nas powoływani zasadniczo ludzie najnieodpowiedniejsi, z reguły z pod najciemniejszej gwiazdy intelektualnej: tępi, ograniczeni, niemający potrzebnej dziś wiedzy — oraz pozbawieni zupełnie talentu. Tam zaś, gdzie nieuctwo i brak talentu podadzą sobie ręce, nic mądrego nie będzie spłodzone, stu głupich nie wymyśli mądrej rzeczy — zaś sama dobra wola jest czynnikiem bardzo niewystarczającym, podobnie jak i talent przy braku wiedzy, albo wiedza przy braku talentu.

Cechuje natomiast te miernoty redakcyjne ogromne zarozumienie o sobie i niebotyczne zarozumialstwo, które jak wiadomo, niedostępnie towarzyszy tępocie umysłu.

Oni zawsze wszystko „lepiej" wiedzą, oni mają swoją „wytyczną linję", dla nich nic nie jest nowością, na najbardziej rzeczowy zarzut odpowiadają półpogardliwym uśmiechem

pobłażania, patrząc na innych z siodła swej mniemanej wyższości.

O kontakt z taką „hołotą", jak czytelnicy, czy zgłaszający swą współpracę ani dbają,na omówienie z czytelnikami tej czy owej kwestji—zawsze i systematycznie „nie mają czasu", jeżeli to jest ksiądz, to ma nabożeństwa, spowiedzie, rekolekcje i Bóg wie co jeszcze; jeżeli świecki — to też zwykle jest zajęty odczytywaniem korespondencji z Zaśmiecisk czy z Smrodzieńca, albo artykułu z „Głosu Pacanowa" czy „Wiadomości z Kiernozi".

W godzinach przeznaczonych na przyjmowanie interesantów i informatorów — panowie redaktorzy albo mają jakieś ważne konferencje, lub ich poprostu niema i nikt nie wie, kiedy raczą przybyć. Jeśli zaś którego z nich uda się złapać, to baczniejszy obserwator odrazu rozpozna po tępym, znudzonym wyrazie twarzy, lub błysku zniecierpliwienia w oczach—mimo obłudnie uprzejmego uśmiechu, że ów pan redaktor radby się gościa jaknajprędzej pozbyć. I tak dalej, i tak dalej—wogóle o bagienku naszych redakcyj katolickich można pisać czy mówić długo i dużo.

Na zjeździe pisarzy katolickich w Warszawie w dniu 17 stycznia 1932 r. Jego Eminencja X. Kardynał Kakowski wyraził życzenie, aby pisarze katoliccy zakładali nowe organy perjodyczne katolickie. Nie potrzeba dowodzić, jak bardzo uzasadnione jest to życzenie. Plan założenia pisma katolickiego powinien polegać na:

1) doborze ludzi oraz

2) na zebraniu środków materjalnych.

Kwestja doboru ludzi trudności nie nasuwa, bo tacy ludzie istnieją, a posiadają pełnię potrzebnych kwalifikacyj, bo wiarę, wiedzę i talent.

Rozumie się, że powinien element wyłącznie rdzennie aryjski stanowić skład komitetu redakcyjnego; żaden żyd czy żydówka, choćby chrzczeni dwukrotnie — albo mechesy pożenieni z żydówkami lub zamężne z żydami, bądź żydowskiego pochodzenia — nie może mieć dostępu ani do redakcji, ani do

szpalt pisma. Skład redakcyjny musi być nieliczny, ale dobrany w całem tego słowa znaczeniu.

Kwestja funduszów — to choć bez porównania trudniejsza, ale nie jest nierozwiązalna. Da się uskutecznić zbiorowym wysiłkiem — drogą choćby składek dobrowolnych, co propagować może duchowieństwo. Wszak taki pomnik Mickiewicza postawiono z funduszów, na które złożyły się dosłownie groszowe i kopiejkowe kwoty pieniężne; dla czegożby nie miały się znaleźć taką samą drogą fundusze na założenie przyzwoitego na poważnym poziomie postawionego pisma katolickiego.

Wszak istnieją liczne organizacje katolickie, które mają obowiązek zainteresowania się brakiem u nas prasy katolickiej; w pierwszym zaś rzędzie Akcja Katolicka, która, rzecz dziwna, na palącą wprost konieczność posiadania prasy katolickiej uwagi nie zwróciła, ani tej konieczności nie zdaje się sobie uświadamiać, zajętą będąc nieokreślonemi bliżej „sprawami organizacyjnemi" oraz zadrukowując całe tonny papieru biuletynami i sprawozdaniami, które przecież nie są żadną prasą, ale coś chyba kosztują.

Niechby te organizacje zajęły się dostarczeniem pieniędzy z drobnych składek, to zapewne można byłoby zebrać przyzwoity kapitał, z którym możnaby rozpocząć pracę, zaś skoro pismo powstanie, te same organizacje powinny je propagować i popierać. Przypomnę, że tygodnik „Rola" jakkolwiek mało popularny, ale istniał nakładem abonentów. Inicjatywa założenia takiego pisma powinna wyjść od inteligentów świeckich bo nie można zwalać wszystkiego na barki księży i wszystkiego oczekiwać od duchowieństwa; duchowieństwo może udzielić tutaj swego poparcia i to głównie moralnego; ambona, zebrania organizacyj katolickich, ewentualnie — konfesjonał — oto byłyby miejsca propagandy.

Inteligencja katolicka powinna poważnie zastanowić się nad tą luką w życiu naszem, jaką jest brak poważnej prasy katolickiej, i zrozumieć doniosłość posiadania i popierania jej.

Jeżeli ta inteligencja tego nie rozumie i na ten odcinek

życia katolickiego uwagi należnej nie zwróci, wyda sobie sama świadectwo swej małej wartości, katolickość swą postawi pod znakiem zapytania i sama będzie winna zagłady, jaka ją nieuchronnie czeka.

Jeżeli dzisiaj katolicy muszą walczyć o prawa dla swego Kościoła, dla swej wiary, dla siebie, jako katolików, o równouprawnienie z żydami i inowiercami, nierzadko we własnym kraju, oficjalnie i teoretycznie katolickim—to muszą mieć taką samą broń, jaką mają ich wrogowie; walka wymaga zrównania szans zwycięstwa, o ile ma być wyrazem woli zwyciężenia; pierwszym zaś warunkiem zrównania szans zwycięstwa jest przeciwstawienie przeciwnikowi broni, którą on walczy (np. gazy trujące)—jest to zasada aksjomat dobrze znany każdemu wojskowemu.

Analogicznie i w dziedzinie życia katolickiego—prasie złej trzeba przeciwstawić prasę dobrą.

Póki tego nie będzie, to wszelkie wysiłki i wszelka inna praca będzie stratą czasu i pójdzie na marne.

Nie chcę pomniejszać znaczenia modlitwy, ale sama modlitwa tu nie wystarczy bo należy i modlić się i pracować, to jest działać, coś zdziałać; to „co”, co trzeba zrobić w dobie obecnej, które trzeba do życia powołać i stworzyć—jest właśnie prasa, której póki katolicy nie opanują, nigdy niczego nie zdołają zrobić i na życie publiczne nigdy nie będą w stanie poważnego wpływu wywierać, dopiero kiedy ją w swojem ręku będą mieli—wtedy będą mieli wszystko.

J. Dobrowolski.

Dzieci, ulica i pisma.

Pod tytułem powyższym zamieszczony został aktualny bardzo artykuł p. Z. Zal. w Kurjerze Warszawskim z d. 30.III b.r., a spowodowany pojawieniem sie ulotek reklamowych z zawiadomieniem, że w najbliższym czasie ukaże się w Warszawie dwutygodnik humorystyczny o specjalnym posmaku, który

tak siebie zachwala: „Erotyka—sensacja—humor. Dwutygodnik pikantny—bogato i ciekawie ilustrowany". Ulotka zawierała dwie fotografje, które w sposób dosadny charakteryzowały ustalony plan pracy redakcji. Działo się to w Wielkim tygodniu, wówczas właśnie, gdy katolicy najliczniej uczęszczają na rekolekcje, do spowiedzi i Komunji św. Po za zwykłym celem handlowym wydawców projektowanego czasopisma, przeziera zupełnie wyraźnie cel inny, który bynajmniej nie stanowi zagadki. Na szczęście kolportaż ulotki został całkowicie wstrzymany przez Komisarjat rządu, z zarządzeniem konfiskaty.

Sprawą wyżej wzmiankowaną zajmujemy się tem bardziej, że do kolportażu, używa się dzieci, które za cenę pewnej sumy pieniężnej, zupełnie podświadomie może, zatruwają swoją duszę i niszczą całkowicie podstawy wychowania religijnego i moralnego, otrzymanego w domu rodzicielskim.

Zachęcona widocznie pierwszą konfiskatą, spółka wydawnicza ma podobno zmienić swój pierwotny zamiar i zamiast dwutygodnika będzie wydawała tygodnik.

Pojawienie się czasopisma o takim charakterze nie jest faktem odosobnionym, w sprzedaży zauważyć można więcej tego rodzaju rozmaitych kolorowych pisemek t. zw. „pikantnych", które wzbudzają odrazę i wstręt przy ich przeglądaniu.

Ogół katolików przeciwstawić się temu musi jaknajbardziej zdecydowanie, bowiem nie wolno nam godzić się, by nasze uczucia moralne były tak poniewierane i niszczone, a przedewszystkiem, by w tak haniebny sposób demoralizowano nam dzieci i dorastającą młodzież.

Na terenie rodzin poszczególnych i w szkole, czyni się wiele wysiłków, by młodzież uchronić przed demoralizacją, a tymczasem, ta sama młodzież—po za domem rodzicielskim i szkołą ma jaknajbardziej ułatwioną możność otrzymania gratisowo plugawych ulotek i nabywania demoralizujących czasopism.

To też kończąc swój artykuł Sz. Autor najbardziej słusznie podkreśla, że:

„Trzeba wreszcie położyć koniec tej propagandzie. Gdzie jest opinja? Gdzie przepisy przeciw pornograficznym wydawnictwom? Rodzice, organizacje religijne, wychowawcze, szkoły, powinni wystąpić solidarnie i żądać, by nie zatruwano dzieci i młodzieży. Moralność, to nie sprawa prywatna, to sprawa społeczeństwa i państwa, które łoży wielkie sumy na to, by mieć zdrowych fizycznie i moralnie obywateli, a nie wydawać miljonów na więzienia, szpitale i przytułki dla degeneratów i ich potomstwa.

Zaplugawia się literaturę opisami, obniża się teatr, doprowadza się do niesłychanego poziomu upadek obyczajów i prostej przyzwoitości, a teraz zaczyna się już otwarcie w „czasopismach", kolportować wszelkie paskudztwa! I dziwić się potem istnieniu „żywego towaru" z całą jego hańbą społeczeństw „cywilizowanych", dziwić się chorobom wysuszającym mózg i czyniącym z ludzi idjotów.

Musi powstać zorganizowany odpór ludzi zdrowych przeciw temu, co idzie teraz ogromnym zalewem na nasze dzieci i młodzież".

Artykuł p. Z. Zal. stanowi właśnie odzwierciedlenie zdrowej opinji społeczeństwa, które potrafi w sposób najbardziej właściwy jaknajkategoryczniej ustosunkować się do ujawnionych zamiarów i nie dopuści nigdy do tego, by hańbiono i demoralizowano dzieci i młodzież. *Cz. Zbyszyński.*

Pasterz rodziny.

1.

Matką ludzkiego życia jest dobra rodzina,
Wraz z nią się ono skończy i z niej się poczyna,
Sercem jej—obyczaje, duszą—w Boga wiara,
Przeznaczeniem zaś walka codzienna i szara,
W której zdobyć potrafi miano bohatera
Ten, kto duszy skarbnicę łask Bożych otwiera!

Bóg połączvł rodzinę, Bóg tylko rozłączy,
Co miłością poczęte, u grobu się kończy,
Kto w drodze przeznaczeń znalazł serce człowieka,
Tego miłość i przyjaźń ogarną, jak rzeka
I radosnym wód biegiem poniosą na fali,
Tam, gdzie słońce zmartwychwstań dusz ludzkich się pali.

Tej rodzinie otwiera Bóg do szczęścia wrota,
Poprzez które powiedzie serdeczna tęsknota.
Czyn jej członków, gdy mówi, że ich dusza jest czysta
Ku tej ziemi przybliża królowanie władz Chrysta
I przez wielką potęgę wspólnej uczuć miłości,
Tej rodzinie zapewnia świat niebiosów radości!

2.

Wszystko w życiu przeminie, wszystko da ci zgryzotę:
Pieniądz, sława, twe zdrowie... dziś jest, jutro cię rzuci,
Jedno będziesz wspominał: twej miłości dnie złote,
Jedno tylko tysiącem ech do ciebie powróci.
Wrócą słowa, co miały serce w swojej ozdobie,
Któreś mówił ślubując: „Zono biorę cię sobie!...”

Jeśliś mędrzec—żyć musisz pochylony nad księgą,
Jeśliś władca — poddanych żywić musisz tysiące,
Jeśliś prostak—do orki cię, jak konia, zaprzęgną.
Wszędzie, zawsze, we wszystkiem obowiązek bez końca,
Jedno możesz od Boga mieć, co serce weseli:
Że ktoś blizki, kochany, ciężar życia podzieli.

Że podzieli niedolę i radości uśmiechy,
Dnie spokojne twej pracy i dnie zmagań wśród znoju
I że z domu twojego tak, jak z gniazda z pod strzechy,
Piskląt—dzieci gromadka pójdzie z tobą do boju.
A ty mędrzec, czy prostak, czy wódz możny, wspaniały,
Obowiązek ten spełnisz sercem Bogu dla chwały!

3.

Ależ jakąż być musi ta moja rodzina,
By się na niej świat kończył i z niej się poczynał,
Jaką musi być dusza rodziny pasterza,
Aby wiarę na blizkich przykładem rozszerzał?
Musi ona być dobra, szlachetna i czysta,
By z Bogiem się zbliżyć, związać z życiem się Chrysta!

Pełna wiary, wytrwała i żonie oddana,
Ma świecić przykładem, być przez dziatki kochana,
Ma w uczuć potędze być tak wielce ofiarną,
By czuła, że wszyscy pod jej skrzydła się garną,
Że cały dom w bezmiar się miłości rozszerza
W blasku słońca tej duszy Bożego Pasterza.

Dziś są tacy na świecie, co walczą z rodziną,
Bo jest ona jedności wśród ludzi przyczyną
I wszak na niej zwycięski Kościół zawsze stoi,
Lecz tych ludzi rodzina swą wiarą rozbroi,
Bo w takim przeznaczeń kole zamknął Bóg ziemię,
Że ją zbawi Rodzina Boża w Betleemie!

TADEUSZ CZARNOMSKI.

NIEPOKALANÓW.

„Przez Marję do Serca Jezusowego!" — oto hasło Niepokalanowa.

Któż w Polsce nie zna tego świętego zakątka, o którym wieść niesie, że ubóstwo i prostota pierwszych chrześcijan kojarzą się tam przedziwnie z nowoczesną techniką i naukową organizacją pracy?

Oddawna pragnąłem poznać to gniazdko wiary i ofiarnego czynu, zawsze jednak coś stawało na przeszkodzie.

W tym roku miały się spełnić moje pragnienia. Wybrałem się pod koniec zimy. Siadłem do wagonu na Dworcu Głów-

nym w Warszawie i po godzinie byłem już w Szymanowie, stacji kolejowej Niepokalanowa.

Dojeżdżając do stacji, spostrzegam w niewielkiej oddali grupę baraków i domków murowanych, otoczoną drewnianym parkanem, coś w rodzaju tartaka lub fabryki cygar z pawilonami do suszenia tytuniu. W środku widniał większy budynek murowany, z którego pykał dymek—widocznie centrala maszyn. Nigdzie nie dostrzegłem ani wieżyczki kaplicznej ani murów klasztornych.

— Czy to Niepokalanów?—pytam nieco zdziwiony.

— Tak, to „nasz" Niepokalanów—odpowiada zagadnięty przygodny towarzysz podróży, uśmiechając się życzliwie.

Sadzę „na piechty" wskazaną mi błotnistą drogą i w 5 minut jestem już przy furcie. Dzwonię—otwiera uprzejmy braciszek. Pierwsze kroki zwracam do kaplicy. Szopa z desek zbita, nad nią mała wieżyczka zdala niedostrzegalna, wewnątrz—ubóstwo stajenki betleemskiej.

Dobrze trafiłem, bo w samo południe. Ozwał się dzwonek, kaplica zaroiła się od młodzieży. Krótki paciorek, potem skromny południowy posiłek na jednym talerzu (gościom dają dwa). Refektarz nabity. Myślałem, że to wszyscy, dowiaduję się jednak, że obiad jak również śniadanie, podwieczorek i kolacja odbywają się na trzy zmiany, bo szczupłe pomieszczenia nie mogą wszystkich objąć odrazu. Pierwszy oddział pracowników zrywa się ze snu o 4 czy pół do piątej, drugi i trzeci w krótkich odstępach czasu za nim podążają i tak przez cały dzień dopędzają jedni drugich modlitwą i pracą.

Przezacny O. Florjan, Gwardjan Niepokalanowa, z radosną dumą spoglądał na tę 500 młodzieży liczącą *„armję Niepokalanej"* i poświęcił wiele godzin, żeby mnie wtajemniczyć w szczegóły wewnętrznego i zewnętrznego jej życia.

Na każdym kroku uderzała mnie j e d n o ś ć w w i e l o ś c i, cisza, spokój, porządek organizacyjny i wysoka celowość. Nad wszystkiem wszędzie króluje Niepokalana. W każdej pracowni widnieje Jej posąg lub figurka z płonącą lampką, wszędzie

obija się o uszy Jej słodkie Imię.. To jest właśnie największa osobliwość Niepokalanowa. Marja go stworzyła, Marja utrzymuje, Marja zapełnia młodzieżą i Marja niewinnemi rękami tych dzieci swoich zasypuje Polskę co miesiąc blisko 700 tysiącami egzemplarzy dobrze nam znanego „Rycerza Niepokalanej” i około 200 tysiącami „Rycerzyka".

Miałem niebawem lepiej poznać tajemnicę wpływu Niepokalanowa, bo O. Florjan zaproponował mi najniespodziewaniej poprowadzenie rekolekcyj dla swej kochanej gromadki.

— „Mój Ojcze—rzekłem—musiałbym chyba wpierw sam odprawić u Was rekolekcje, by móc Wam cośkolwiek powiedzieć". Uśmiechnął się, ale propozycji nie cofnął. Zgodziłem się z radością i temu zawdzięczam bliższe poznanie Niepokalanowa i ukochanie tego gniazdka, z którego wyniosłem tyle miłych i niezatartych na całe życie wspomnień.

* * *

W roku 1926 stanęła na otwartem polu dzisiejszego Niepokalanowa budka z desek sklecona. Przez szczeliny w ścianach i dachu wiatr wygrywał smętne melodje, dmuchał mrozem i śniegiem. Nie można bez wzruszenia czytać i słuchać tych wspomnień. Sami twórcy dzieła i pierwsi towarzysze trudów i niewygód nie mogą powstrzymać wzruszenia, gdy o tem opowiadają. Betleemskie początki!

Bóg pobłogosławił, dzieło rozwinęło się potężnie, ale duch pozostał ten sam.

Ilu w początkach stanęło do pracy towarzyszy, tyle ich obecnie pracuje setek. Wstają tak samo wczesnym rankiem zimą czy latem; jadają dostatecznie, ale prosto i ubogo; pracują w skupieniu i milczeniu od rana do nocy; przerabiają co miesiąc dwa wagony i ćwierć papieru na „ewangelję" Niepokalanej i napełniają tą dobrą nowiną prawie całą Polskę.

Nie przybyło wygód, ale zato wzrósł olbrzymio wysiłek i wydajność pracy. Ojcowie i Bracia stanowią tak zgodną i sharmonizowaną rodzinę, taka tu panuje wspólność trudów i niewygód, że nawet socjaliści jednają się z Kościołem na ten widok.

Wartoby dla bezbożników urządzać specjalne pielgrzymki do Niepokalanowa, niechby się przyjrzeli tej mrówczej pracy wykonywanej radośnie dla chwały Boga i dobra Ojczyzny. Niema tam darmozjadów i maruderów, każdy ma wyznaczony sobie dział specjalny, w którym pluska się, jak rybka, kombinuje, przemyśla, udoskonala, upraszcza, czyni wynalazki. Czarne habity białym sznurem przepasane śmigają raźnie we wszystkich kierunkach. Jedni pracują w ogrodzie, inni piłują drzewo, dźwigają materjały na budowę, cioszą, murują, kryją dachem, inni krzątają się w kuchni, w piekarni, w rzezalni, w pralni, inni szyją odzienie lub obuwie, naprawiają maszyny i narzędzia pracy—wszystko bez jakiejkolwiek obcej pomocy, wyjąwszy, gdy maszyny wymagają gruntowniejszego remontu.

Celem tej krzątaniny mrówczej i nader pracowitej jest wydawnictwo. Ten dział najważniejszy i najciekawszy. Dwie dynamomaszyny pędzą cały warsztat. Przy pełnym rozmachu maszyna drukarska nowej konstrukcji wyrzuca 20 tysięcy „Rycerza" na godzinę w tej postaci, w jakiej go do rąk naszych otrzymujemy. Odpowiednio do tego dostraja się tempo redakcji i administracji, sortowni i ekspedycji. Hufiec 300 młodych zuchów, podzielony na kilkanaście oddziałów, wykonywa ogrom tej pracy.

Dział korespondencyjny otrzymuje w pewnych okresach do 5 tysięcy listów dziennie, a 1000 stanowi prawie zwykłą normę. Liczba wysyłanych rocznie odpowiedzi przechodzi 300 tysięcy, nie licząc odpowiedzi dawanych co miesiąc w piśmie.

Żeby objąć wszystko i niczego nie przeoczyć, podzielono administrację na grupy według województw, postawiwszy na czele każdej kierownika i referenta. Sprawy drobniejsze i zwykłe załatwiają sami Bracia, z trudniejszemi odnoszą się do Ojców, których jest tylko 6 na cały Niepokalanów i do tego obarczonych nowicjatem i szkołą juwenacką z kursem gimnazjalnym, w której Jaśki i Staśki łamią sobie języki na angielszczyźnie i innej cudzoziemszczyźnie.

Nawiasem dodać trzeba, że Niepokalanów wspiera „Rycerza Niepokalanej", wydawanego w 65 tysiącach egzemplarzy po japońsku, a zamierza jeszcze wydawać go po indyjsku.

W te arkana wtajemniczał mnie O. Justyn Marja Nazim, redaktor „Rycerza" i „Rycerzyka Niepokalanej", który niebawem przemawiać będzie do miljona czytelników. Wcale na takiego groźnego potentata nie wygląda. Prosty i ujmujący, jak metoda jego działania. „Nie liczymy na zyski — mówił mi otwarcie. — Ufamy Niepokalanej i dobrej woli ludzkiej. Rzucamy olbrzymie ilości *Rycerza* gratis, zadowoleni, że ludzie czytają; byle tylko koniec z końcem związać i nowy numer miesięczny opłacić".

Nie w smak djabłu ta robota.

Opowiadano mi w Niepokalanowie i sam miałem sposobność to stwierdzić, że bezbożnicy pienią się, gdy im wspomnieć o „Rycerzu Niepokalanej", a rwą go w kawałki i palą, gdy dostaną do ręki.

Bezbożne „Ognisko" nauczycielskie zabroniło go czytać dzieciom w szkołach. Należy przy tej sposobności sprostować mylną opinję, że zakaz ten wyszedł od Kuratorjum czy nawet od Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Nic podobnego, jak mnie zapewniano w Niepokalanowie, nie zaszło. Wyższe władze mają na szczęście więcej zdrowego rozumu i taktu, niż podwładni „brykalscy i wierzgalscy" z „Ogniska".

Dziwimy się tylko, że tolerują dotąd bezprawny bojkot „Rycerza" ze strony podwładnych sobie organów. Sprawa ta musi być rychło rozpatrzona i krzywda wyrządzona tak zasłużonemu wydawnictwu katolickiemu wynagrodzona.

Chyba, że temu przeszkodą „fartuszkowi bracia" — masoni, za których Niepokalanów modli się nieustannie, powtarzając przy każdym paciorku: „O Marjo bez zmazy poczęta, módl się za nami, którzy się do ciebie uciekamy i.... za masonami...

Djabeł się wscieka... znak to nieomylny, że modlitwa skutkuje.

Kochanym „niepokalańczykom"—odwagi i wytrwania!

Ks. M. Wiśniewski.

Dla naszych „piątek".

Jest źle. Kryzys gniecie cały świat. Coraz częściej rozlegają się wołania *o nowych dobrych ludzi.*

Słusznie, bo jacy ludzie, takie porządki, takie czasy. Źli ludzie popsują najlepsze czasy. Więc naprawę czasów należy rozpocząć od naprawy ludzi.

Trzeba wychować nowych i dobrych ludzi.

Kto się tego podejmie?

Amatorów nie brak i jeszcze jakich! „Legjon Młodych"— „Związek Obywatelskiej Pracy Kobiet" — „Straż Przednia" — „Strzelec"—„Liga Praw Człowieka" — Y. M. C. A. i tym podobne *ekspozytury masońskie* z Ligą Narodów na czele.

Wszystko to niedorostki do wielkiego i szczytnego dzieła wychowania człowieka.

Za całą odprawę niech im posłużą słowa zasłużonej wychowawczyni całych pokoleń polskich—Marji Rodziewiczówny: *„Poco pisać 100 wierszy o kryzysie, kiedy to się da streścić w kilkunastu wierszach?*

Kryzys powstał i trwa skutkiem trzech powodów: nienawiści ludzi do ludzi, czci dla pieniądza i pogaństwa.

A trwać będzie, dopóki ludzie nie nawrócą do Dekalogu, nie formą i literą—ale przeświadczeniem, że nic mądrzejszego nie wymyślą". (Z odpowiedzi na ankietę „Kurjera Warszawskiego" — *o przyczynach kryzysu*).

Z licznych, głębokich i mocno uzasadnionych odpowiedzi głos Rodziewiczówny uderza swoją siłą, czystością, głębią przekonania. Piszemy się nań najzupełniej i nie mamy innych pragnień, jak to, by przyśpieszyć *powrót do Dekalogu*

i na przykazaniach Bożych oprzeć życie odrodzonego społeczeństwa.

W tym celu rozpoczynamy zapowiedziany wcześniej dział informacyjny, przeznaczony specjalnie dla „naszych piątek".

Namyślaliśmy się dość długo, czy w tym dziale uwzględniać również dziewczęta, czy tylko samych chłopców. Ostatecznie zdecydowało słowo Pawłowe: *„Stałem się wszystkiem dla wszystkich, abym wszystkich pozyskał Chrystusowi"*.

Przecież i dziewczęta mają duszę, a niektóre z nich nawet bardzo piękną, więc dla nich to czynimy.

Jeśli z ich grona wyjdzie nowa św. Terenia, to ona sama wystarczy za miljony innych „lalek bezdusznych" i trud się sowicie nagrodzi.

Od czego zacząć?

1. *Od Ewangelji* — bezsprzecznie. Ewangelja jest „księgą życia" dla całej ludzkości, a powinna być księgą życia dla każdego z nas.

Codzienne czytanie Ewangelji św., choćby kilkuminutowe, i przeżywanie jej w duszy w ciągu dnia jest jednym z koniecznych warunków wychowania chrześcijanina i dobrego człowieka. Na ten temat nigdy nie można się wypowiedzieć dostatecznie. Nasze „Pro Christo" otwiera szerokie pole do wymiany zdań—aby zachęcić do wchłaniania w siebie Ewangelji; powtarzamy: już nie czytania, ale wchłaniania całym umysłem i sercem.

Możemy wskazać i polecić *Nowy Testament* w opracowaniu *Ks. Biskupa Antoniego Szlagowskiego,* bo lepszego nie znamy. Cena egzemplarza oprawnego w płótno — 5.50 zł., w skórkę ze złoconemi brzegami—15 zł. („Kronika Rodzinna").

Ta książka, nad którą ludzkość nie posiada cenniejszej i piękniejszej, powinna zawsze leżeć otwarta przed nami. Wrócimy jeszcze do tego przedmiotu.

2. Po Ewangelji najwięcej rozpowszechnionem w całym świecie dziełem jest prawdziwie *złota książeczka* p. t. *Naśladowanie Jezusa Chrystusa* ułożona przez *Tomasza à Kempis*

(2.70 zł. w opr.). Od 300 przeszło lat książeczka ta nie wychodzi z rąk ludzkich, a z latami, zamiast tracić, przybiera tylko na wartości.

Ujmuje ona nie tylko samą istotę Ewangelji w sposób niezrównanie prosty i głęboki zarazem, ale trafia jeszcze skutecznie w najczulsze struny duszy ludzkiej, że nawet Żydzi nie mogą jej czytać bez wzruszenia.

Czy możemy znaleźć lepszy komentarz do Ewangelji i głębsze jej wytłumaczenie?

Owszem — w katechiźmie.

3. *Katechizm* jest kościelnem, autorytatywnem i nieomylnem wyjaśnieniem i dopełnieniem Ewangelji. Dopełnieniem, mówimy, bo nie wszystko, co Pan Jezus głosił, zostało zapisane przez Ewangelistów. Św. Jan, umiłowany uczeń Chrystusowy, sam się do tego przyznaje w zakończeniu swej Ewangelji (rozdz. 21).

Otóż katechizm zawiera nietylko to, co nam podali *piśmiennie* Ewangeliści, ale również to wszystko, co nam przekazała ustna *Tradycja* od czasów apostolskich.

Zatem katolik musi poznać obydwa źródła swej wiary i z obydwóch czerpać, to jest z Pisma św. i z Tradycji. Połączenie systematyczne, naukowe i nieomylne tych dwóch źródeł znajdujemy w katechiźmie.

Katechizmy bywają rozmaitych zakresów i rozmiarów. Małemu dziecku do I Spowiedzi i Komunji św. wystarczy katechizm o kilkunastu stronicach za 5 lub 10 groszy. W miarę rozwoju umysłu i ducha trzeba rozszerzać i pogłębiać zakres swych wiadomości religijnych, sięgając nawet do dzieł kilkunasto-tomowych.

Ponieważ trudno sobie na to pozwolić, przeto gorąco polecamy *jednotomowy katechizm Kardynała Gasparri*, który ma się ukazać, albo już się ukazał w polskiem tłumaczeniu w *„Książnicy Akcji Katolickiej"* (Księg. św. Wojciecha, Poznań). Katechizm ten został opracowany na wyraźne życzenie Ojca św. i zawiera najbardziej autentyczny wykład wiary katolickiej.

4. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie polecić najgorręcej książki, którą nazywają *„kartką z Ewangelji"*, a mianowicie niezrównanych konferencyj *O Mateo* p. t. *„Jezus, Król Miłości"*. Duszą Ewangelji jest miłość, a właśnie O. Mateo tę kartkę wyjął z Ewangelji i nam podaje nie przy świetle lampki elektrycznej, lecz w gorących blaskach słońca. Pisaliśmy o niej obszerniej w „Pro Christo" w styczniu b. r. na str. 29.

5. Pięknym komentarzem do Ewangelji św. jest „Naśladowanie" Tomasza à Kempis, głębszym i nieomylnym — katechizm, przecudne perły i djamenty ewangeliczne znajdziemy w konferencjach i kazaniach wybitnych mówców i apostołów wiary, ale *najpiękniejszą ilustracją Ewangelji jest życie Świętych*, a pośród nich *„Dzieje duszy" św. Teresy od Dzieciątka Jezus.* Żeby ocenić to arcydzieło, radzimy przeczytać jako wstęp „Anioł Karmelu" ks. Gilloteau („Kronika Rodzinna" Warszawa), a zwłaszcza podane tam listy żołnierzy z frontu w czasie wielkiej wojny.

Św. Teresa po dziś dzień zachwyca świat swoim duchem, bo umiała z wdziękiem nieporównanym urzeczywistnić w sobie ideał *„bożego dziecięcia"*. Wrócimy do niej jeszcze niejednokrotnie.

6. *„Anioł Karmelu"* może nie każdemu zaimponuje, bo się uchował w zaciszu klasztornem, ale za to nikt się nie oprze urokowi młodzieńczej duszy żołnierskiej Antosia Scheur'a, który w tym samym wieku, co św. Terenia, to jest w 24 roku życia dojrzał dla nieba w najcięższych warunkach życia obozowego i pomknął ku wyżynom, zostawiając pozostałym wzór i zachętę. Niech każdy, młody i stary przeczyta koniecznie *„Podniebny lot"*—Życiorys, listy i pamiętnik polskiego lotnika Antoniego Scheur'a w opracowaniu Stanisława Tworkowskiego (Poznań, 1933, II wydanie Sp. a. „Ostoja", cena 3.20).

I do Antosia jeszcze wrócimy.

7. Zbliżoną do Antosia duszą jest marynarz wielkiej wojny, a potem lotnik,—*Jan hr. du Plessis*, którego dzieje bohaterskie i porywające zostały opisane w książce: *„Coraz wy-*

żej" (Wyd. OO. Jezuitów, Kraków). Chłopcy się w nim zaczytują, że ich oderwać nie można. I do Jasia jeszcze wrócimy.

8. W ostatnich tygodniach ukazała się książka niezwykła p. t. *„Zmartwychwstanka"* — Wewnętrzne dzieje siostry *Zofji Czarneckiej.* (Wydawnictwo Sióstr Zmartwychwstanek). Opracowała je długoletnia wychowawczyni młodzieży, a obecnie przełożona prowincjalna Sióstr Zmartwychwstanek w Polsce—*S. Teresa Kalkstein.* Odkładamy na później dokładniejsze omówienie tej pracy wysoce wartościowej zarówno pod względem treści jak formy. Zaznaczamy tylko na razie, że nasza Zosia snuła dalej nitkę św. Tereni. Nawet w tym samym roku się urodziła, w którym tamta zgasła t. j. w 1897, by nas już w 1926 pożegnać.

Czytając tę książkę, która powinna trafić przedewszystkiem do dziewcząt, rodzi się mimowoli bolesne pytanie: „Czy warto rzucać te perły pod nogi...?" Bo tak daleko odbiegły dzisiejsze dziewczęta od ideałów Ewangelji.... Ale przecież nie wszystkie... Może i warto, niewątpliwie warto... dla tej garstki....

Chłopcom również się to przyda, bo Siostra Zofja miewała i z nimi drobne utarczki w szkole i na uniwersytecie. Niechże się uczą cenić w dziewczęciu coś więcej, niż to, co dostrzegają zmysłami.

Książka o 400 str. druku, artystycznie wydana, kosztuje 5 zł. Tak tanio mogą wydawać tylko zakonnice. Nabyć można w Zakładzie SS. Zmartwychwstanek, ul. Krasińskiego 31, Żoliborz, Warszawa. Można ofiarować i 10 zł., jeśli kogo stać, bo zakład ogromny na 700 dzieci olbrzymie też dźwiga ciężary.

Rozpłynąłem się tym razem w samych słodyczach. Dla równowagi dodam nieco pieprzu, a właściwie siarki i saletry.

9. Mam na myśli rzecz, która głębiej i mocniej poruszyła społeczeństwo—*„Synowie Szatana"* przez Don Inigo (1933 r. str. 128. Księgarnia nakładowa B-ci Detrychów w Płocku).

Omówiliśmy ją w kwietniowym zeszycie „Pro Christo" na str. 283. Kochane „piątki", zajrzyjcie zbliska w straszliwe oblicze człowieka - bestji i człowieka - szatana, a lepiej ocenicie i goręcej ukochacie Ewangelję. Don Inigo w swojem tłumaczeniu dzieła Rodjonowa „Syny djawoła" (Belgrad, 1932) dał obraz tego, co Żydzi gotują światu. Najlepszą i najskuteczniejszą odpowiedzią na ich szatańskie zamysły jest wprowadzenie w życie całej Ewangelji.

Pomówimy o tem innym razem.

Bywajcie zdrowi, Kochane Chłopczyska i Wy, miłe Kwiatuszki.

Wasz Ks. M. Wiśniewski.

Sprawozdania i krytyki.

Ks. Fr. Kuligowski: „Czytania majowe na temat pieśni polskich o Najświętszej Pannie". Wydanie drugie w zastosowaniu do czasów obecnych opracował i uzupełnił... Warszawa, Katolickie Towarzystwo Wydawnicze „Kronika Rodzinna". Podwale 4. Rok 1934. Stron 240. Cena 1 zł. 50 gr.

„Czytania majowe" ks. Fr. Kuligowskiego po raz pierwszy wyszły w druku na parę lat przed wojną i już wówczas zdobyły sobie uznanie, jako pisane z wielką znajomością wiejskich warunków bytowania i tem samem do wiejskich słuchaczów przedewszystkiem doskonale tematami poruszanemi trafiające.

W nowem wydaniu, ukazującem się w Polsce niepodległej, mógł autor cały szereg spraw inaczej, pełniej poruszyć, niż to było możliwe pod cenzurą rosyjską, na czem oczywiście „Czytania majowe" wielokrotnie zyskały, to też niewątpliwie to nowe wydanie jeszcze więcej znajdzie zwolenników, niż wydanie poprzednie, a szybkie rozejście się wysoce pożytecznego dziełka będzie dla autora najmilszą nagrodą za trudy, podjęte przy jego ponownem opracowaniu.

„Czytania majowe" uzupełnione zostały zbiorkiem najbardziej ulubionych pieśni do Matki Boskiej, dzięki czemu zadość czynią wszelkim wymaganiom, stawianym wydawnictwu, przeznaczonemu do użytku w czasie nabożeństw majowych.

Na dobro pracy ks. Fr. Kuligowskiego to jeszcze zaznaczyć należy, iż całość pisana jest językiem jasnym, dla wszystkich zrozumiałym, że przykłady brane są przeważnie z życia potocznego, przez co łatwiej trafia-

ją do przekonania przeciętnych słuchaczy, a o to przecież nadewszystko chodzi.

W tym roku przypada siedemdziesięciolecie wprowadzenia nabożeństwa majowego w Polsce przez ks. arcybiskupa Popiela, naonczas biskupa płockiego.

Niechże „Czytania majowe" ks. Fr. Kuligowskiego jaknajlepiej przyczynią się do uświetnienia tej rocznicy.

La Question scolaire. S. E. Le Card. Verdier — Arch. de Paris. Beauchesne et ses Fils, Paris, rue de Rennes 117. 1934. 160 pg.

Od jakości młodzieży zależy jakość przyszłości świata. Jaką kto chce mieć przyszłość, tak wychowuje młodzież. Obraz przyszłości liberalistycznej, laikalnej jest pozbawiony jasnych barw. Ciemne barwy w futyrystycznym układzie przeważają. Ciemne też konsekwentnie jest wychowanie młodzieży.

Galikanizm, Comte, Cousin — to rzecznicy „ciemnego" wychowania młodzieży. Propagowane przez nich szkoły bez Boga, bez religji, t. zw. „szkoły państwowe"—żywe pogwałcenie praw naturalnych dziecka i rodziców, praw bożych i kościelnych — dużo złego wyrządziły Francji i innym krajom. Nie wszędzie praktycznie do tego doszło. Teorje jednak przedostały się poza granice Francji i, odgrzewane sporadycznie, są przedmiotem żywych dyskusyj lub nawet zgubnych prób.

Ojciec św. Pius XI zabrał stanowczy głos i zagadnienie chrześcijańskiego wychowania młodzieży rozwiązał. Pysze i uporowi liberałów to nie wystarcza. Uczeni katoliccy, uwzględniając ich słabość, śpieszą im z pomocą, tłumacząc i uzasadniając postulaty Głowy Kościoła.

„Sprawa szkolna" Ks. Kard. Verdier'a napisana jest w powyższym celu. Książka odznacza się głęboką, filozoficzną argumentacją. Przyda się tym wszystkim, którzy na tę sprawę patrzą z naturalnego punktu widzenia. Poznają oni, że zdrowy rozum ludzki, nieoparty nawet o Objawienie, po zbadaniu wszystkich racyj, uzna konieczność zgodnej współpracy 3 czynników wychowawczych: rodziców, Kościoła i państwa.

A. Witkowiak.

Rabbi, mon Maître, roman. Frédéric de Bélinay. G. Beauchesne et ses Fils, Paris, rue de Rennes 117. 192 pg.

Pisać romans na temat tego, co w jakikolwiek sposób odnosi się do Chrystusa, jest śmiałem przedsięwzięciem. Boć o rzeczach świętych święcie pisać trzeba. Kto to potrafi, czyja dusza przepojona jest miłością Chrystusa, ten bez obawy może z dziełem Chrystusa powiązać zwykłe dzieje pięknych i szlachetnych serc dwojga młodych ludzi.

Frédéric de Bélinay, komendant piechoty podczas wojny, a później zakonnik, ma potemu kwalifikacje. W czasie 2-letniego pobytu w Palesty-

nie poznał bliżej piękno jej ludzi i krajobrazu. Majestat starych, niezmiennych zwyczajów Wschodu zapadł autorowi głęboko w serce. Cisza klasztorna rozbudziła wrażenia, drzemiące na dnie skołatanej wojną duszy. Wzbogaciła je codziennemi rozważaniami życia Chrystusa. Uzdolniła go do napisania powieści, przepojonej miłością, entuzjazmem, młodzieńczą żywotnością, a przytem dziwnie kojącym spokojem.

Ileż dusz ludzi współczesnych potrzebuje takiego pokarmu? „Tolle lege"!

A. Witkowiak.

Odezwa w sprawie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Jednem z wielkich dzieł, które stworzył Kościół polski w odrodzonej Ojczyźnie naszej, jest Katolicki Uniwersytet Lubelski.

Istnieje on już 16 lat i rozwija się wysiłkiem katolickiego społeczeństwa, zwłaszcza Duchowieństwa, które część swej pensji, nie licząc dobrowolnych ofiar, co miesiąc oddaje Uczelni Lubelskiej.

Ale K. U. L. potrzebuje ciągle pieniędzy na wydatki bieżące i inwestycje. Powinien obsadzić niektóre nowe katedry i rozbudować wydziały, powiększyć bibljoteki seminaryjne i ogólną. Powinien mieć możność wydawania książek naukowych i czasopism. Ma do wykończenia rozbudowę gmachów, ma do przebudowania kaplicę, bibljotekę do wybudowania, centralne ogrzewanie do instalacji. Wystarczy wymienionych potrzeb, a są i inne.

Zwracamy się przeto z prośbą do wszystkich ludzi dobrej woli, aby złożyli według swej możności datki na K. U. L. w okresie, w którym odbędzie się po kościołach kolekta w drugi dzień Zielonych Świątek i zbiórka w całem Państwie w dn. 10 czerwca za zgodą ministra Spraw Wewnętrznych, lub aby przesłali swą ofiarę, bezpośrednio po przeczytaniu tej odezwy— bo jak się odłoży, to się zapomni — wprost do K.U.L. przez P.K.O. nr. 39.712 na konto Kat. Un. Lub.

Ojciec św. pragnie, aby istniał i rozwijał się Katolicki Uniwersytet Lubelski i błogosławi tym, którzy do tego pomagają.

W Liście do Biskupów Polskich z dn. 28 kwietnia 1932 r. pisał Ojciec św.: „To najbardziej Nas ujęło, że zabiegacie usilnie, iżby Katolickiemu Uniwersytetowi Lubelskiemu, w szczególny sposób z Nami związanemu, nie brakło środków, koniecznych do istnienia i rozwoju".

A gdy J. E. X. Biskup Lubelski składał w r. 1933 Ojcu św. sprawozdanie ze swej diecezji, Ojciec św. szczególniej zainteresował się uczelnią lubelską. O tem pisze Biskup Lubelski w Liście pasterskim do swych diecezjan: „Wielce Ojciec św. zaciekawił się Katolickim Uniwersytetem w Lublinie, zaznaczył, że cieszy go istnienie i rozwój Uniwersytetu, widzi bowiem w nim zadatek odrodzenia umysłowego i religijnego w duchu katolickim, zwłaszcza inteligencji polskiej, która z natury swej powołana jest do kierowania losami narodu. Kiedy Mu wspomniałem, że mu brak środków materjalnych, aby mógł należycie się rozwijać, Ojciec św. polecił oświadczyć Biskupom, Duchowieństwu i całemu społeczeństwu katolickiemu, iż szczególniej błogosławi tym, co swym groszem i życzliwością podtrzymują tę wyższą uczelnię katolicką, los bowiem tego Uniwersytetu bardzo Mu leży na sercu".

Rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Poleca się uwadze
NASTĘPUJACE WYDAWNICTWA:

F. E. Kilka słów o masonerji 0.70
Glinka W., Masonerja 0.30
Godziemba, O wtajemniczonych dla niewtajemniczonych . 1.00
Leon XIII, Encyklika o masonerji 0.40
Skrudlik, Zamachy na kościół katol. 3.00
Terpiłowski, Przesiąkanie masonerji do kościoła . . 0.90
Weryho, Walka z masonerją 1.00

Katolickie Tow. Wydawnicze KRONIKA RODZINNA
Warszawa, Podwale 4.